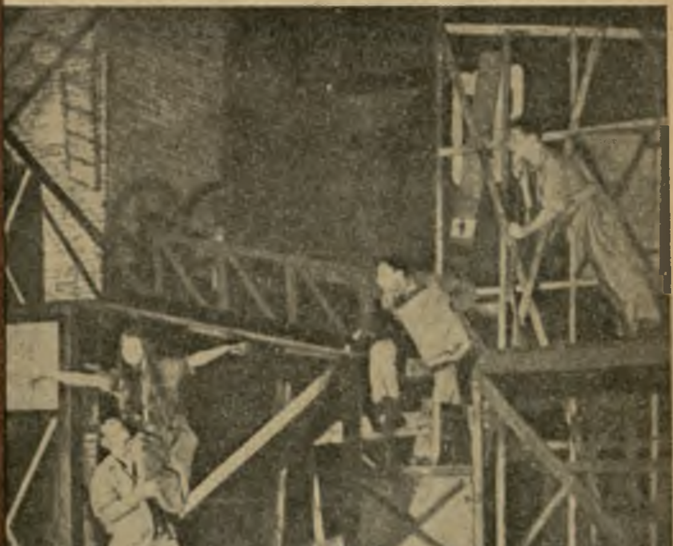
DŹWIGNIA

WARSZAWA
STYCZEŃ
1928



N-r 7

SPIS RZECZY

NA OKŁADCE: „Rogacz wspaniały“ w inscenizacji Meyerholda

Redaktor odpowiedzialny i wydawca: Witold Wandurski

Redakcja przyjmuje w poniedziałki i czwartki od godziny 6-ej do 7-ej wiecz.

Konto czekowe P. K. O. 14.700

Prenumerata: Kwartalnie 4 zł — Półrocznie 7 zł. 75 gr. Rocznie 15 zł. — **Zagranicą:** Półrocznie 1 dol. U. S. A., Rocznie 2 dolary. Cena pojedynczego numeru 1 zł. 50 gr., Zagranicą 25 centów

Redakcja: Pańska 26 m. 28. **Administracja:** Krucza 26

Ogłoszenia: 1 kolumna 100 zł., 1/2 kol. 60 zł., 1/4 kol. 30 zł.

DŹWIGNIA

STYCZEŃ 1928 N-r 7

Poprzedni N-r 6 „Dźwigni" z grudnia 1927 r. został skonfiskowany przez Komisarjat Rządu na miasto Warszawę „za zespół artykułów i ilustracji".

W tydzień potem Redakcja otrzymała wyciąg z dziennika posiedzenia gospodarczego Wydziału VIII Karnego Sądu Okręgowego w Warszawie, odbytego w dniu 21 grudnia r. ub. tej treści:

„Upatrując w zamieszczonych w N-rze 6 czasopisma „Dźwignia" z grudnia 1927 r. artykułach „Przełomowe posiedzenie" i „Nauka w Z. S. S. R." cechy przestępstwa w art. 129 K. K. przewidzianego, zajęcia rzeczonego numeru czasopisma „Dźwignia", na mocy art. 76 i 77 Rozporządzenia Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 10 maja 1927 r. zatwierdzić i rozpowszechnienie tego numeru zabronić i korespondencję zwrócić Prokuratorowi przy Sądzie Okręgowym w Warszawie."

Na oryginale właściwe podpisy.

Zgodny z oryginałem

(podpis)

Wobec powyższego numer bieżący „Dźwigni" wychodzi w uszczuplonych rozmiarach.

REDAKCJA

BARDZO POWAŻNA TRANZAKCJA

A. STAWAR

W polskim świecie literackim podniósł się w ostatnich miesiącach spory hałas z powodu przewidywanego utworzenia t. zw. akademji literatury. Kwestję akademji podniósł pierwszy Żeromski jeszcze przed wojną światową. Wyznaczał on wtedy akademji bardzo szerokie zadania. Obecny rząd, naturalnie nie bez głębszych celów politycznych, postawił podobno tę sprawę na gruncie realnym. Wywiązała się cała polemika — udział w niej wzięły nawet pisma codzienne, naogół niewiele interesujące się literaturą.

Rzecz charakterystyczna: nawet zwolennicy akademji, nie mówiąc już o przeciwnikach, nie mają żadnych złudzeń co do jej wartości jako pozycji czynnej w życiu kulturalnem. Sprawa została odrazu postawiona na gruncie interesów ekonomicznych. Idzie poprostu o gołą kwestję subsydjowania literatury przez rząd. Rynek literacki w Polsce jest ciasny — małe nakłady nie dają zarobku, produkcja literacka nie opłaca się, nie opłaca straconego na nią czasu. Rynek ścieśnia się między innemi wskutek pewnej niechęci publiczności do krajowej produkcji literackiej. Stąd ustawiczne, usprawiedliwione zresztą, skargi pisarzy na biedę, i wołanie o pomoc rządową, z powoływaniem się na honor domu, dawne zasługi, reprezentacyjną wartość literatury i t. d.

Kwestja akademji stała się więc właściwie kwestją budżetową, kwestją popierania literatury drogą utrzymywania znacznego odłamu literatów przez rząd — co do tego zgodni są zarówno zwolennicy jak i przeciwnicy tej instytucji. Występując w roli stałego mecenasa literatury rząd obecny pozostaje w zgodzie ze swą zasadniczą linją polityczną — bezpośredniego kaptowania i podporządkowywania sobie możliwie najwięcej czynnych sił społecznych — literatura pomimo wszystko nie należy do najmniej ważnych. Wobec stosunkowo małej roli wolnego rynku, oddziaływanie rządu tą drogą może wywrzeć wpływ decydujący. Sumy wchodzące w grę na pensje „akademików" oraz na wszelkiego rodzaju subsydja, są, jak na polskie stosunki, dość znaczne (podobno pół miljona złotych rocznie — dochodzą tu zresztą jeszcze nagrody udzielane przez miasta). Jasne jest, że tą drogą wzmoże się ogromnie bezpośrednie oddziaływanie polityczne rządu na literaturę.

Dyskusja w sprawie akademji rzuca wogóle ciekawe światło na dzisiejszą sytuację literatury w Polsce i spowodowała kilka niezmiernie charakterystycznych wystąpień. Argumenty zwolenników obracają się naogół koło kwestji biedy pisarzy zwłaszcza starych i... powoływania się na francuską Akademję Nieśmiertelnych, która jest instytucją spokojną, dość niedorzeczną i bez głębszego wpływu na rozwój literatury. Ale Francja posiada wielki rynek literacki, zapewniający pisarzowi, (który się nań dostał, bo to jest rzecz dość trudna) pewną niezależność finansową. W Polsce rzeczy, jak wiadomo, stoją inaczej—stąd też akademja stanie się narzędziem grubego, niczem nie osłoniętego korumpowania literatury.

A że odporność jest bardzo słaba na to dostatecznie wskazują argumenty przeciwników akademji, zarówno z pośród starszych pisarzy, jak i młodych. Argumenty te niejednokrotnie wykraczają poza ścisłe ramy zagadnienia i jak powiedziałem wyżej rzucają światło na ogólny stan rzeczy w literaturze. W Nr. 43 „Wiadomości Literackich" Aleksander Wat w imieniu jak sam powiada „t. zw. młodych" charakteryzuje obecną sytuację w taki sposób:

> Jednym z najważniejszych argumentów przemawiających przeciw utworzeniu akademji jest zupełne wyjałowienie rewolucyjnych popędów literackich w młodem pokoleniu pisarzy, słaba ich odporność, bierna ugodowość, zanik kontrowersyj między starymi a młodymi... Jeśli toczą się jeszcze jakieś walki to załebki (!), wieńczące osobiste animozje i porachunki. Krótki okres „Sturm und Drang'u", który zaczął się od brawurowego wypadu „Skamandra" i skończył na rozsypce grupy „Nowej Sztuki", zostawił w spuściźnie zbyt łatwe zwycięstwo i zbyt sromotną klęskę. Wystarczy zaś wziąć do ręki enuncjacje licznego zastępu najmłodszych... aby stracić wszelkie złudzenia i nadzieje na najbliższą przyszłość. Służalczość bezczelna, lizanina połączona z furfanckiem namaszczeniem, układna rezolutność, dostojna powaga, zuchwały epigonizm i nawet doprawdy zręczność poetycka tych zdolnych chłopców przejmuje nas, o jakże młodych, jakże przedwczesnych weteranów, rozpaczliwym niesmakiem. W tych warunkach akademja będzie uświęceniem i utrwaleniem tego stanu rzeczy na bardzo długą metę, usystematyzowaniem zabójczego snobizmu służalczości, protekcji, zniepprawiaczem i tak już dość zniepprawionych charakterów.
>
> ...Akademja zasmaruje zapowiadające się dopiero młode piśmiennictwo, pokostem starczości, obskurancji, rutyny, bezwładu, tchórzliwego i zawistnego przemilczania spraw najistotniejszych — słowem wszystkich miłych przywar, któremi większość sygnowanych już przez opinję starszych panów zatruwa chwilowo samych siebie.

Rzecz naturalna, iż podobna opinja młodego pisarza o młodem pokoleniu o tyle bezwzględna ile szczera — mogła być i została wyzyskana w ten sposób, że skoro to młode pokolenie jest takie, jak je Wat przedstawił, to niema właściwie powodu liczyć się z jego zdaniem. Niemniej ten szczery sąd Wata jest bodaj że powszechny — podzielają go starzy i młodzi. Wcześniej jeszcze w podobny sposób sformułował swe zdanie Antoni Słonimski.

> „Tragizm polega na tem, że nowe pokolenie ludzi piszących w Polsce nie wnosi również żadnej burzycielskiej ani budującej siły. Triumfuje u nas wielka rzeczpospolita miernoty, wielkie wszechporozumienie przeciętności. Aż dziwne jest jak bardzo łatwo burzliwe do niedawna temperamenty dały się ugłaskać krzesełkiem w takim czy innym komitecie, bankiecie czy pogrzebie. Modne są dzisiaj hasła mdłego objektywizmu i takt- „Takt" staje się świętem przykazaniem. Dla tej grzeczności stosunków, w której jest wygodnie celebrować szlifami poety, toleruje się u nas niejedno błazeństwo, zatraca się granice między tem co żywe, prawdziwe i słuszne a kostniejącym marnym światem konwenansu. Obie strony walczące nie mają nic do wygrania ani do przegrania. Mogą się modlić albo pojedynkować. Uszy ich głuche są na głos budzącego się nowego życia. Co się dzieje u nas od śmierci Stefana Żeromskiego — to żałosne tło dla zaryso-

wania się przyszłego silnego pokolenia ludzi naprawdę czujących i myślących. Ale i tło może być bardziej lub mniej malownicze i w tym wypadku jest to tło i liche i nudne".

Wat, mówiąc o zbyt łatwem zwycięstwie i sromotnej klęsce, porusza właściwie kwestję walki obecnego pokolenia ze „starymi". Ale przedstawiciel starego pokolenia, Irzykowski, w tej samej dyskusji, w artykule „Przewrót majowy w literaturze" stwierdza słusznie, że właściwie walki wcale nie było, że stosunek „starych" do „młodych" w Polsce jest obecnie raczej zbyt usłużny. Irzykowskiemu trzeba przyznać rację: młodzi u starych a starzy u młodych jednako gorliwie poszukują protekcji. Krótko mówiąc, mamy tu stosunek dwóch słabości, wytwarza się sytuacja przypominająca lafontenowską bajkę o zającu i żabie. Przykładów nie trzeba długo szukać.

Ale prawdopodobnie Wat nawet się nie spodziewał, że w krótkim czasie pojawi się w druku arcypoglądowe potwierdzenie jego tezy o nędzy duchowej młodego pokolenia, o „służalczości, bezczelnej lizaninie, połączonej z furfanckiem namaszczeniem, układnej rezolutności" i t. podobnych cnotach dzisiejszej młodzieży literackiej. Mowa o artykule Mieczysława Brauna pod tytułem „Niech żyje akademja" (również w „Wiadomościach Literackich"). Braun szuka w literaturze istotnie „młodych", szuka „utworów nieledwie rozsadzonych energją twórczą", „gorących uczuć", „przenikania od końca do końca ludzkości całych ogromów". Szuka, ba, znalazł tych młodych... Dajmy mu głos:

„I trafiam na święty ogień rewolucji (!) Żeromskiego, na światoburcze pociski Tetmajera, na żarliwe melodje Przybyszewskiego, Staffa, Kadena... Spójrzmy sobie w oczy: kto z pokolenia dojrzewającego za czasu wojny, gdy w potopie krwi powstawały nowe rzeczywistości, kto po dziś dzień pracowitością twórczą, bogactwem ducha, wielkością i rozmiarem dzieł tak szafował, żeby z pokornem wejrzeniem mógł podejść ku „starym" albo też cisnąć w ich stronę marmur, z którego wykuł zaczątek własnej wielkości".

Z całego tego arcypatetycznego wywodu Brauna wynika, że właściwa młoda literatura, to ciągle jeszcze dawna „Młoda Polska" z przed dwudziestu-trzydziestu lat, która zachowała widocznie monopol na wieczną młodość. Co prawda niektórzy z tych „wiecznie młodych" bogów literackich, zeszli już chwalebnie z tego świata po przekroczeniu pięciu i sześciu krzyżyków. Według Brauna powieściopisarze i lirycy minionego pokolenia są to takie tytany, że nikt z obecnych młodych nawet „z pokornem wejrzeniem" nie ośmieli się podejść ku nim, nie mówiąc już o ciśnięciu w ich stronę „marmuru" (!?)

Uchodzi to za normalne, jeżeli dziecinnieją ludzie bardzo starzy, po przekroczeniu pewnej granicy wieku. Co innego, jeżeli dziecinnieje lub udaje zdziecinniałego przedwcześnie człowiek młody. Do takiego właśnie przedwczesnego infantylizmu M. Braun nawołuje nową literaturę polską w swojem apostolstwie pokory.

■

Kwestja akademji literatury wiąże się więc blisko z kwestją o wiele ważniejszą: kwestją dzisiejszego kryzysu literackiego. Że ten kryzys istnieje nikt nie zaprzecza, poza bezpośrednio zainteresowanymi optymistami

urzędowymi. Wyżej przytoczyłem opinje przedstawicieli literatury powojennej, ujmujące niektóre charakterystyczne objawy. Korzenie tego kryzysu tkwią jednak głębiej w całym rozwoju stosunków społecznych w Polsce, w ich najbardziej specyficznych właściwościach historycznych.

Hegemonję społeczną i kulturalną w Polsce sprawowała niepodzielnie szlachta — to właśnie Polskę wyróżnia z pośród innych krajów europejskich. Mieszczaństwo, które wszędzie odgrywało rolę twórcy i nosiciela kultury, w Polsce nie odgrywało żadnej prawie roli, stanowiło pozycję bierną. Pomijając już ubóstwo i małą aktywność polityczną, ludność miejska w Polsce była (i jest) zróżnicowana narodowościowo. Najsilniejsi ekonomicznie żydzi i niemcy tworzą żywioł kulturalnie wyosobniony. Te warunki złożyły się na pewien monopol szlachecki w literaturze. Odpowiednio do tego Polska nie posiada (a złożyły się na to i inne czynniki nad któremi nie mogę się teraz rozwodzić) tradycji literatury „narodowej" w tym sensie, w jakim mają je np. Francja, Niemcy, a nawet do pewnego stopnia Rosja.

Wiąże się z tem jedno bardzo ważne zjawisko, a mianowicie brak stałego centrum historycznego. Najżywotniejszy prąd literatury polskiej wyszedł w znacznej mierze z Kresów Wschodnich — stamtąd wyszli Mickiewicz, Słowacki i inni twórcy romantyzmu. Tam też, w środowisku ludowem białoruskiem i ukraińskiem, ciągnąc jego soki żywotne, wyrabiał się najodporniejszy i posiadający największą zdolność ekspansji żywioł szlachecki. Później następowało niejednokrotnie przemieszczenie centrów, ale Warszawa w swoją rolę metropolji literackiej weszła niedawno. Łączy się z tem zjawisko, że największe naprawdę nowoczesne ośrodki, jak Łódź, Zagłębie, Śląsk stanowią jako konsumenci nawet pozycję raczej bierną. Odpowiednio do tego ci nawet pisarze, którzy występują jako reformatorzy, burzyciele—usiłując przedstawiać problemy socjalne, de facto kończą zawsze na jednym centralnym problemie dworu szlacheckiego.

Napozór koliduje z jednolicie szlacheckim charakterem literatury fakt wtargnięcia, w okresie „Młodej Polski", pisarzy pochodzenia chłopskiego, jak Kasprowicz, Reymont, Orkan. Ale to raczej potwierdza powyższe tezy. Na pierwszy rzut oka można w okresie „Młodej Polski" odróżnić dwie linje: jedną społecznikującą, politykującą, w ramach, pomimo przeciwnych nieraz pozorów, bardzo tradycjonalistycznych — za przedstawicieli tej linji można uważać Wyspiańskiego, Żeromskiego. Druga linja to pisarze usposobieni raczej antyspołecznikowsko, odwracający się od polityki jak Kasprowicz i Reymont. A jednak pisarze ci reprezentują dość wyraźnie ideologję wielkochłopską (Reymont zresztą pod koniec życia przeszedł do Witosa). A ta ideologja ich wyraża się między innemi właśnie w owym wstręcie do społecznikowania i polityki.

Ten wstręt i związana z nim (zresztą raczej pozorna) bezprogramowość — są zastanawiające u przedstawicieli, bądź co bądź, nowej klasy. Zastanawia to zwłaszcza jeśli ich zestawić ze znacznym aktywizmem ideologicznym całej literatury szlacheckiej. Pod tym względem stosunek między Reymontem a Żeromskim jest taki sam jak między Witosem a Piłsudskim*). Ta sama bezprogramowość społeczna, ciasnota, bezideowość cechują przedstawiciela politycznego polskiego kułactwa jak i chłopskich

*) Zestawienia między czołowymi przedstawicielami literatury a politykami — w krajach gdzie literatura z tych czy innych powodów, których teraz rozstrząsać nie można, ma program polityczny—nie są wcale taką dowolnością, jakby się zdawać mogło na

pisarzy „Młodej Polski". I dlatego pisarze ci musieli przegrać jak i politycy — nie zmienili fizjonomji literatury, nie pozostawili właściwie trwałego oddziaływania.

Odegrała tu rolę istotną genealogja polityczna klasy, którą reprezentowali. Chłop polski przeszedł swój okres wyzwolenia z bezpośredniej zależności pańszczyźnianej — okres walki ze szlachtą o swoje istnienie polityczne na gruncie „antynarodowym" (bo w Polsce szlachta reprezentowała naród). W innych krajach europejskich chłop wyzwalał się przy pomocy własnej burżuazji — w Polsce wyzwalały go rządy zaborcze — chłop wygrywał o ile był przez nie popierany.

Od czasu, gdy wystąpili pisarze „Młodej Polski" sytuacja zmieniła się zasadniczo. Rewolucja agrarna obaliła „dwory" szlacheckie w znacznej części Ukrainy i Białorusi — dwory te już się nie podniosą. Razem z nimi upadła szlachecka ekspansja kulturalna. Panowanie caratu w Polsce pełne było pozornych paradoksów społecznych — czynownicy carscy popisywali się radykalną „demagogją", — młodzi synowie obszarników prowadzili propagandę wolnościową, a pod koniec XIX i w początku XX w. propagowali nawet „socjalizm" w powstańczym sosie. Z upadkiem caratu ten wyścig o „duszę ludu" musiał się skończyć. Dziś maskowanie dążeń, cała ta mimikra społeczna nie przydaje się na nic. Jednocześnie dojrzały inne siły — ekspansja kulturalna inteligencji szlacheckiej ustała. Monopol literacki został złamany.

To, co teraz zachodzi w literaturze polskiej przypomina (zresztą podobieństwo jest bardzo dalekie) okres wtargnięcia „raznoczyńców" do literatury rosyjskiej w połowie XIX wieku. Znowu więc mamy zjawisko napływu nowych sił, podobnie jak to było z przedstawicielami chłopstwa w „Młodej Polsce" — zda się należałoby oczekiwać napływu nowych idej, nowych form, rozkwitu jednem słowem? Tego niema. Wybitni przedstawiciele młodego pokolenia uskarżają się bez ogródek na błahość, na pustkę, na denerwującą nudę i niesmak z powodu sytuacji w literaturze.

Mamy tu to samo zjawisko co przy wystąpieniu pisarzy chłopów, tylko w stopniu jeszcze większym. Żywioły, które wystąpiły na scenę, średnie warstwy mieszczaństwa i drobnomieszczaństwo, cierpią również na brak siły na brak poczucia uprawnień historycznych—na chroniczną niepewność. Natykamy się tu na zjawisko, którem zajmowali się dotychczas wprawdzie tylko krytycy antysemiccy, ale które trzeba rozpatrzeć o ile chcemy zrozumieć dzisiejszą sytuację literatury w Polsce. Zjawiskiem tem jest ogromny na-

---

pierwszy rzut oka. Program polityczno-społeczny Marinettiego głoszony jeszcze przed wojną, wykazuje tak uderzające analogje z programem faszystowskim, realizowanym obecnie przez Mussoliniego, że wiele punktów sprawia wrażenie wprost zapożyczeń ze strony tego ostatniego. Nie mogąc się tu wdawać w wydobywanie szczegółowych analogij między Żeromskim a Piłsudskim wskażę tylko na charakterystyczne np. forsowanie inżynierów, techników w powieściach i studjach przez Żeromskiego, a przez Piłsudskiego w polityce czynnej. W przemówieniach, w stylu, taka sama pozorna mętność, nieokreśloność, szeroki sentymentalizm —— za którym zgrabnie ukryty wyziera stary pradziadowski kańczug.

Trzeba jeszcze zaznaczyć, że w obu przytoczonych wypadkach pisarz głoszący dane idee wyprzedza polityka, a nie odwrotnie, tak, iż tu nie można mówić o prostem zużytkowaniu opisowem materjału życiowego, ile raczej o wyczuciu uprzednie pewnych tendencyj zbiorowych.

pływ pisarzy pochodzenia żydowskiego. Napływ ten jest nietylko ilościowy — jest to nietyle przewaga liczebna, ile przewaga uzdolnień i ekspansji. Jeżeli zważymy, że polskie społeczeństwo burżuazyjne szczyci się obok Węgier i Rumunji opinją najbardziej antysemickiego w Europie, że hasła antysemickie mają wpływ niemal bezwzględny wśród drobnomieszczaństwa, gdyż nawet ugodowi socjaliści publicznie popisują się antysemityzmem w odezwach wyborczych — to fakt ten nabiera pewnej ironicznej wymowy.

Stanowi on bezpośrednie odbicie sytuacji w miastach i miasteczkach Polski. Ale samo położenie tych warstw, które teraz przyszły do głosu, skazuje je na bezsilność wewnętrzną i na rolę przyczepki. Dotychczasowe dziedzictwo literatury szlacheckiej powiększa dezorjentację i chaos. Presja tradycjonalizmu szlacheckiego, dążenie do jaknajszybszego i najradykalniejszego zatarcia własnych, wniesionych z sobą właściwości panują niemal wszechwładnie. Stąd specyficzny niepokój, stąd zaobserwowane trafnie przez p. Wata „brak poczucia humoru i łatwo zapalna emfaza". Stąd unikanie spraw poważnych a drażniących — szczególnie gorliwe pielęgnowanie dziedzin „mało angażujących", stąd kult filologji, kult rodzimego „słowa" jako takiego, zapuszczający korzenie w nowej poezji polskiej. Ten sam „brak poczucia humoru i łatwo zapalna emfaza" wyraża się w łatwem oscylowaniu między sjonizmem a antysemityzmem, między kosmopolityzmem a 110% patrjotyzmem, między swoiście pojętym „marksizmem" a katolicyzmem. Naturalnie daleki jestem od tego, by rzeczy te składać na rachunek „pochodzenia". Wyraża się tu poprostu sytuacja tych warstw wciśniętych między stare potężne jeszcze, eksploatujące korzystną konjunkturę siły feudalne, a narastający ruch proletarjacki — sprzeczność, jakiej w tym stopniu nie zna żaden inny kraj.

Charakterystyczny w każdym razie jest upadek zainteresowań ogólnych. Odpowiada się tu zwykle, że jest to przejaw uzdrowienia literatury, nawrotu do zagadnień formalnych i t. d. Ale w rzeczywistości właśnie pod względem formalnym upadek jest największy. W epoce kultu dla filologji, hymnów do „słowa" przeciętny poziom pisarski obniżył się potężnie. Już dawno w literaturze polskiej nie stała tak nisko sztuka literackiego wypowiadania się, nie szalał tak barok przy szeregowaniu słów bez myśli, konstrukcji sztywnych bez ładu, elementarnych sprzecznościach logicznych i monstrualnych nonsensach. Można przewidzieć, iż jeśli istniejące tendencje będą się rozwijały nadal — literatura dojdzie do stanu takiego, jak w sławetnej epoce saskiej.

Masowe subsydjowanie literatów przez rząd przyśpieszy tylko tę ewolucję, obniży jeszcze bardziej poziom i dopiero stworzy grunt podatny dla rozwoju tych cnót i właściwości młodej literatury, o których tak dobitnie i przekonywująco piszą Słonimski i Wat. Fakt ten będzie miał niezawodnie poważne znaczenie społeczne — chociaż nie należy przeceniać jego właściwej wagi. Ten zaułek bez wyjścia, w jakim znalazła się współczesna literatura w Polsce — jest prostym wyrazem analogicznej sytuacji społecznej. Kryzys i tu i tam nie należy do uleczalnych — wszelka próba stabilizacji będzie tylko stabilizacją kryzysu, może co najwyżej odciągnąć nieco przesilenie. Istota szarpiących i osłabiających sprzeczności zostanie. Znieść je może tylko wejście sił naprawdę twórczych społecznie i naprawdę radykalnie zrywających ze starzyzną.

7 LISTOPADA 1917

FRAGMENT

WŁ. MAJKOWSKIEJ

Przełożył Wł. Broniewski

W takie noce,
gdy wszystko zamilkło
w mroku,
w śnieżnej zawiei,
na ulicach
— któż? —
chyba tylko
poeci
albo złodzieje.
Ocean mroku
światem zawładnął.
Rudy od ogni.
Siny.
Jak łódź podwodna,
poszedł na dno
Petersburg
trafiony miną.
I tylko
kiedy
w wichrze płonącym
mrok
zakołysał się
w górze,
przypominało się
nieustającą,
wrącą
wokoło
burzę.
Wodę
mrok
i tak przypomina:
bezdenne,
sine przestwory,
a tutaj jeszcze,
jak widmo rekina
cielsko
Aurory.
Ogień
mitraljez
place wystrzygł.
Na wybrzeżach
pustka i spokój.

Tylko
ogniska
tlą się i błyszczą
w zgęstniałym
mroku.
I tam,
gdzie ziemię
ogrzewa płomień
i taje
śnieg
od gorąca,
w językach
ognia
trzymając dłonie,
grzeje się
żołnierz drżący.
Żołnierz
poruszył ogień,
przytem
iskra
mu padła
na oko.
Poznałem,
rzekłem zdziwiony:
„Witam,
Aleksandrze
Błoku!
Futuryści górą!
Niedługo ze wszystkiem
frak starzyzny
rozlazły
się podrze".
Błok popatrzył —
płoną ogniska —
i rzekł:
„To dobrze".
Wkoło
tonęła
Rosja Błoka...
Stare
liryczne
rupiecie
szły
na dno,
jak idą
ułomki,
puszki od konserw
i śmiecie.
I zaraz,
mroczny,
jak śmierć na weselu,

czoło
zasępił
zmarszczką:
„Piszą mi...
ze wsi...
spalono...
w niedzielę..
bibljotekę
na folwarku".
Błok powstał —
powstał
wielki cień Błoka,
za nim
na murze usiadł...
Jak gdyby
obaj
z wody i mroku
wypatrywali
Chrystusa.
Lecz Chrystus
nie szedł
ku nim
tą drogą.
Błok
posmutniał
i westchnął...
Zamiast Chrystusa,
żywi
z za rogu
ludzie
nadchodzą
z pieśnią.



ROBOTNICY W KLUBIE FABRYCZNYM SŁUCHAJĄ RADJA

STANISŁAW PRZYBYSZEWSKI

1868 — 1927

Dwadzieścia kilka lat temu Przybyszewski był pisarzem bez miary zwalczanym przez jednych a uwielbianym przez innych, jako nowator i burzyciel. Przylgnęło do niego określenie go jako przedstawiciela dekadentyzmu ze wszystkiemi konsekwencjami zawartemi w tem pojęciu. Autor „De profundis", starał się je uzasadnić całem swojem życiem i przykładał do tego sporo wysiłków. Było to wtedy jeszcze, gdy o rozpadzie mówiło się bardziej otwarcie, nie ukrywając jego prognoz i symptomów — może dlatego, że siły rządzące światem europejskim czuły się jednak bardzo mocno w siodle.

Przybyszewski rozpoczął swą działalność literacką w Berlinie, w początku lat dziewięćdziesiątych. Pisał początkowo po niemiecku, odrazu zaznaczywszy się jako świetny stylista. Niektórzy zaliczają go do tych pisarzy, z których wyszła nowa proza niemiecka. W każdym razie wpływ literacki Przybyszewskiego w Niemczech, oraz w późniejszych latach w Rosji, w kołach „dekadentów" był wielki. Do Polski sprowadzono go w roku 1898, objął wtedy redakcję krakowskiego „Życia", gdzie ogłosił swoje pierwsze manifesty artystyczne („Confiteor"). Wystąpił też z całym szeregiem dramatów i powieści *), które łącznie z owemi manifestami spowodowały ogromny ruch umysłowy i wpłynęły na wszystkich prawie pisarzy „Młodej Polski".

Początek lat dziewięćdziesiątych, gdy Przybyszewski rozpoczynał swą działalność — reprezentuje ważny zwrot w burżuazyjnej umysłowości europejskiej. Był to okres, gdy nauka i filozofja burżuazyjna (a zwłaszcza ta ostatnia) rozpoczyna ze zgrozą patrzeć na wyniki metod materjalistycznych, uważając, iż prowadzą one zbyt daleko. Rozwój materjalizmu, stanowiący potężny czynnik walki burżuazji z siłami feudalnemi — musiał zwrócić się przeciw samej burżuazji, z chwilą gdy twórcy socjalizmu naukowego podnieśli i rozwinęli metody materjalistyczne, jako narzędzie wyzwolenia proletarjatu. Filozofja materjalistyczna, naukowe badanie rzeczywistości, zaczyna się z kolei zwracać przeciwko stosunkowo niedawno umocnionemu panowaniu burżuazji. Rozpoczyna się więc okres powrotu do idealizmu, przynajmniej w dziedzinie filozofji, okres ostentacyjnego załamywania rąk, narzekań na niepewność nauki, marność wyników wiedzy ludzkiej, okres rezygnacji, której wyrazem były między innemi rozgłośne wyznanie przyrodnika niemieckiego Du Bois Reymond'a („ignoramus, ignorabimus..."),

W latach studenckich Przybyszewski przez pewien czas uważał się za socjalistę — był krótko redaktorem socjalistycznej „Gazety Robotniczej" wychodzącej w Berlinie. Pozostawał wtedy pod pewnym wpływem materjalizmu przyrodniczego — o marksizmie nie miał właściwie pojęcia,

*) Dramaty: „Dla szczęścia", „Złote runo", „Matka", „Śnieg", „Odwieczna baśń" „Gody życia" i in. Ostatnio „Mściciel" wystawiony jeszcze w 1927 r. Poematy prozą, powieści: „Wigilje", „Nad morzem", „Androgyne", „Dzieci szatana", cykl „Homo sapiens", „W godzinie cudu", cykl „Mocny człowiek" i t. d. W ostatnich czasach Przybyszewski opublikował wspomnienia i charakterystyki p. t. „Moi współcześni".

jakkolwiek wyraża się o nim w swoich wspomnieniach z wielkim tupetem i nader lekceważąco. Krótki okres sympatji dla ruchu proletarjackiego minął — jednocześnie wystąpiła też odraza do materjalizmu. Przybyszewski filozoficznym umysłem nie był — idealizm filozoficzny mu nie wystarczał — rzucił się więc w okultyzm, magję, satanizm. Należał do tych przedstawicieli intelektu mieszczańskiego, o których możnaby powiedzieć, że demonologją usiłują przepłoszyć socjologję.

Najefektowniejszą stroną pisarstwa autora „Dzieci Szatana" stanowiła jego „teorja" chuci, jego demoniczny panseksualizm. To budziło najwięcej zgrozy i oburzenia w „mydlarskiej" publice. Istotnie tutaj działalność Przybyszewskiego występuje jako czynnik poważnego przełomu obyczajowego. Cała ta kompilacja metafizyczna z Szopenhauera zawierająca sporo psychopatologji seksualnej, nawet z punktu widzenia idealistycznego stanowi czysto dowolne fantazjowanie na pewne tematy. Ale zarazem zupełnie słusznie „mydlarz", filister widział w Przybyszewskim niszczyciela rodziny mieszczańskiej. Demoniczne obsłonki rzucane przezeń na sprawy płciowe, owa maszynerja metafizyczno-mistyczna służyła w gruncie do przełamania norm obyczajowych tradycyjnej cnoty mieszczańskiej. Stanowiło to w gruncie rzeczy odbicie zmian w sytuacji społecznej kobiety — usunięcia patrjarchalnego skrępowania płciowego. Rzecz charakterystyczna jak prędko zmienił się stosunek „mydlarzy" do autora „Godów życia". Bo też Przybyszewski w traktowanie spraw płciowych kładł tyle zaczerpniętego ze średniowiecznych doktryn demonizmu — taką wagę udzielał pojęciom o grzechu i karze — że z punktu widzenia mieszczańskiego idee jego traciły w pewnej fazie swą siłę burzącą — i przejawiały swój głębiej tkwiący podkład moralistyczny. Dlatego Przybyszewski wyczerpał się tak prędko — i tak prędko przestał budzić zgrozę. Przełom obyczajowy w życiu poszedł dalej — Przybyszewski zyskał szacunek i uznanie, ale nad jego metafizyką seksualną nad jego demonicznemi problematami płci, zaczęto lekko wzruszać ramionami. Zwłaszcza, że berło oficjalnego metra, specjalisty od „edukacji sentymentalnej" mieszczańskich panien — podjął po nim w sposób gładki, filuterny bez „demonizmów" i metafizyki — autor „Słówek", Boy Żeleński.

Olbrzymi wpływ Przybyszewskiego był krótkotrwały, poszedł raczej wszerz niż w głąb. Już dość dawno należał on właściwie do historji literatury.

S.

DWA TEATRY ROBOTNICZE

Korespondencja BERLIN W GRUDNIU 1927

Te dwa teatry — to Piscatorbühne, na Nollendorfplatz i Volksbühne na Bülowplatz. — I jedno i drugie uważane jest za teatr proletarjacki. Jakie jednak olbrzymie między niemi różnice!

Piscator wystawił „Rasputina"—sztukę A. Tołstoja przetłomaczoną na niemiecki, przez Piscatora inscenizowaną. Trudno właściwie nazywać to — sztuką teatralną, tak dalece to widowisko odbiega od zwykłych wyłącznie mówionych widowisk teatralnych. Jest to połączenie kina z teatrem.

Treść — to kawał życia, wyrwany z dziejów Rosji i wielkiej rewolucji.

Scena wypełniona jest olbrzymią, nieco stożkowato wydłużoną, obracającą się szarą półkulą. W tej półkuli tworzą się większe lub mniejsze otwory — trójkąty lub czworoboki sferyczne, — w których rozgrywają się poszczególne sceny. Dla scen zaś masowych otwiera się całe wnętrze półkuli, jakby rozcinanej. Szara powierzchnia półkuli służy jako ekran kinematograficzny.

Zaczyna się kinem. — Szereg portretów carów — od Iwana Groźnego począwszy — z podaniem w paru słowach, w jaki sposób każdy z nich był zamordowany. Mikołaj II-gi na tym samym ekranie i w tem samem miejscu ukazuje się jako żywy aktor. — Potem kinematograficznie nędza chłopska i robotnicza, więzienia, Sybir, etapy, sądy. Potem wojna, okopy i pośród tego teatr: — sceny z życia dworu, car, carowa, ministrowie, Rasputin — i sceny z konspiracyjnych narad rewolucjonistów.

Podczas gry żywych aktorów w jakimś wycinku półkuli-ekranu, na całej powierzchni tej półkuli idzie kino. — Np. podczas scen dworskich masowe demonstracje uliczne, strzelanina w okopach i t. p. — W trzech trójkątach półkuli — dwa na dole, jeden na górze — pojawia się jednocześnie trzech cesarzy: Mikołaj (na górze), Franciszek Józef i Wilhelm (na dole) — i wygłaszają autentyczne historyczne przemówienia wojenne, powołując się każdy na „wolę bożą" i „niezłomne wyroki opatrzności".

Nb. — „republikańskie" władze niemieckie zakazały profanowania w teatrze świętej osoby Wilhelma. Zamiast niego więc występuje w stosownem miejscu aktor w marynarce i odczytuje wyrok sądowy — co publiczność przyjmuje chóralnym gwizdem.

Potem występują na scenie jednocześnie Lenin i Kiereński. Każdy w innem miejscu sceny i każdy tak, jakby przemawiał do tłumów — falujących jednocześnie w zdjęciach kinowych. Rozgrywa się między nimi djalog, ułożony z wyimków przemówień historycznych. — Publiczność jest porwana i entuzjastycznie oklaskuje poszczególne zdania, zupełnie jakby się czuła na wiecu.

Obrazy kinowe wyświetlane są nietylko na powierzchni półkuli, lecz i w inny sposób. — Przed sceną spada zasłona muślinowa, poprzez którą widać aktorów, na zasłonie zaś wyświetlane jest kino. W ten sposób rozgrywają się sceny dworskie w Carskiem Siole. — Rozmistyczniona i modląca się carowa rozpacza z powodu zabicia Rasputina (którego przedtem zgładzili spiskowcy kierowani przez Puryszkiewicza), minister Protopopow pogrąża się w ekstazy mistyczne, a jednocześnie na zasłonie muślinowej odbywają się olbrzymie, tłumne walki uliczne.

Żywi aktorzy na tle kina nabierają szczególnie jaskrawej barwności — wyglądają jak jaskrawe malowanki. Stosowną grą światła można przytem albo wyjaskrawić ich, albo też gasić, wydobywając bądź aktorów, bądź kino na miejsce naczelne.

Jest to olbrzymie źródło zupełnie dotychczas nieznanych efektów scenicznych. Do takiego wystawiania jednak potrzeba sztuk specjalnych. — „Rasputina" np. nie możnaby wystawić w inny sposób. A przerabianie na taką wystawę sztuk starego repertuaru — do niczegoby nie doprowadziło. Może niektóre rzeczy Szekspira — np. Juljusz Cezar — dałyby się wystawić w ten sposób?

Teatr Piscatora jawnie i bez osłonek stawia sobie cele polityczne. Jest to agitacyjny teatr polityczny. — Idzie o to, aby porwać widzów, nastawionych na stosowną tonację polityczną. Oczywiście dla widzów politycznie

obcych będzie to widowisko conajmniej dziwaczne. Widz robotniczy jednak, dla którego ten zupełnie nowy rodzaj sztuki widowiskowej jest przeznaczony, przyjmuje te rzeczy z olbrzymim entuzjazmem. — Wypełniona przez proletarjat widownia wybucha oklaskami przy każdem przypadającem jej do smaku powiedzeniu politycznem, lub też sykaniem i wrogiemi okrzykami reaguje na wystąpienia tych, których uważa za swych wrogów klasowych. Słowem — łączność między sceną a widownią jaknajżywsza. Łączność ta i napięcie uczuciowe wzmacnia się nieustannie aż do końca widowiska, odbywającego się w najszybszem tempie kinematograficznem tylz jedną przerwą przez cały wieczór, i kończącego się, jak bardzo udany wiec, wielkiemi hasłami programowemi.

Zupełnie inny nastrój panuje w drugim berlińskim teatrze robotniczym — w Volksbühne na Bülowplatz. — Piscator wystawia swe sztuki w teatrze wynajętym. Volksbühne ma swój własny wspaniały gmach — bodaj największy, a napewno najwygodniejszy z teatrów berlińskich. Świetnie urządzona widownia, doskonała akustyka.

W tym bogatym teatrze, uznawanym oficjalnie za teatr robotniczy, grywają teraz codziennie „Per Gynta" Ibsena i co kilka dni „Hinkemanna" Ernesta Tollera.

Dlaczego właśnie Ibsen dla proletarjatu jednej z wielkich stolic spółczesnego świata kapitalistycznego? — Czy dlatego, że wywlekanemi przez niego „otchłannemi" zagadnieniami strasznie wzruszała się inteligencja drobnomieszczańska przed trzydziestu laty? — Dla walczącego proletarjatu zawsze był on i będzie obcy. Czuje to najwidoczniej kierownictwo Volksbühne, bo daje widzom specjalny artykuł, usiłujący powiązać Ibsena ze spółczesnością. Ibsen miał ponoć napisać do Jerzego Brandesa: „mojem zadaniem jest stawianie pytań, a nie dawanie wskazań".

Dlatego właśnie — pisze o tem p. Frank Albert Ossenrey, usprawiedliwiając wystawianie Ibsena — jest on szczególnie bliski naszemu pokoleniu. *„Bo przecie stoimy wobec świata w ruinach. Wszystko jest zakwestjonowane"*.

To ostatnie zdanie jaskrawo ujawnia oblicze klasowe piszącego. Czyjże to świat jest w ruinach? — Czyje wartości są zakwestjonowane?

Przecie nie świat proletarjacki i nie stające się miarą wszystkiego wartości proletarjackie. W ruinach leży przedewszystkiem świat ideałów drobnomieszczańskich. Drobnomieszczańskie, radykalno-inteligenckie wartości zakwestjonowane są do samych podstaw.

Dla tych wiecznie rozszczepionych i wiecznie po rozdrożach błąkających się dusz Ibsen rzeczywiście może być bliski.

Ale przejdźmy do Tollera, to przecież pisarz ekstra spółczesny i ponoć proletarjacki. „Hinkemann" jest wielce reklamowany przez socjalną demokrację jako sztuka antymilitarna.

Hinkemann — to przeciętny masowiec robotnik, zdrowy, silny, sentymentalny i niezbyt inteligentny mąż młodej, zdrowej kochającej go żony. Wzięto go na wojnę, z której wrócił, bez ...genitalij. Na tem tle zniechęcenie do życia i t. d. Dośpiewać to sobie nietrudno. — Sztuka kończy się samobójstwem żony; on pozostaje — „ogromny, silny i śmieszny" — jak sam o sobie powiada.

Utrata tak ważnej, szczególnie w pożyciu małżeńskiem, części ciała zapewne jest wypadkiem bardzo bolesnym. Ale to samo może się zdarzyć i niekoniecznie na wojnie. Wypadki takie możliwe są i podczas ćwiczeń sportowych, możliwe są i w fabryce, no i w każdej epoce, historycznej. Ka-

żdy pisarz podejmie się napisać na ten temat „ sztukę", umieszczając „bohatera" w danem mu środowisku: to samo może się dziać w domu patryzjusza rzymskiego, w zamku rycerskim lub w wydywanionem mieszkaniu spółczesnego małżeństwa burżuazyjnego. Proletarjackość utworu Tollera polega tylko na tem, że scena przedstawia mieszkanko robotnicze i że mówi się tam o pieniądzach na węgiel i na komorne. A antymilitaryzm tylko na tem, że ten przykry wypadek zdarzył się naj wojnie. Autor nie zdobył się nawet na frazesy antywojenne.

Głębokiem nieporozumieniem jest nazywanie tego utworu „dramatem społecznym". Przeciwnie — to zasadniczo antyspołeczne traktowanie sprawy. — Mamy scenę w knajpie, gdzie Hinkemann spotyka się z robotnikami — działaczami społecznemi różnych kierunków i oto dochodzi do wniosku, że „na jego nieszczęście żaden przyszły ustrój mu nie pomoże".

Abstrakcyjnie biorąc, wniosek zupełnie słuszny. Ale sposób postawienia całej sprawy ma w sobie wyraźną tendencję reakcyjną. Błąd polega na tem, że nieuleczalne kalectwo indywidualne zostało potraktowane na płaszczyźnie masowych dążeń i walk społecznych. — Tak stawiać sprawę może tylko ktoś, kto tych walk i dążeń absolutnie nie rozumie.

Po dyskusji w knajpie następuje dziwaczna nocna scena na ulicy wielkiego miasta. Po ludziach wyobrażających brutalny, rozkrzyczany, rozpustny i bezmyślny tłum, jawią się tam jakieś zmory, duchy, strzygi. — Jeszcze krok dalej i autor znajdzie rozwiązanie dla swego Hinkemanna w uniesieniach religijno-mistycznych.

Tollerowskie założenia rzeczywiście tylko do mistycyzmu doprowadzić mogą. Gdyby autor miał odwagę domyślenia swych myśli do końca, kazałby swemu Hinkemannowi znaleźć pociechę w Armji Zbawienia, w Teozofji, lub poprostu w Kościele Katolickim.

Zsuwanie się w bajoro religijno-mistycznego głupstwa jest dzisiaj bardzo znamienne dla socjalnej demokracji niemieckiej.

W sumie sztuka jest nudna. Autor niema czem wypełnić czasu. Biedny widz od pierwszego aktu już wie wszystko; wie także, że autor niema mu już nic ważnego do powiedzenia.

Jeśli z tą rozmazaną i sentymentalną, drobnomieszczańską nudą zestawimy kipiące życiem i — pomimo zastosowania wszystkich możliwych skrótów i wszystkich nowoczesnych środków scenicznych — rozsadzające swe ramy widowisko Piscatora, nie będziemy mieli najmniejszej wątpliwości, gdzie jest młoda twórczość, a gdzie starcza impotencja.

Skąd się bierze robotnicza publiczność na te przedstawienia — skoro teatry w Berlinie są bardzo drogie?

Istnieje tu ogromna kooperatywa robotnicza zakupująca niemal wszystkie miejsca w niektórych teatrach na zgóry określone przedstawienia. — Wszystkie bilety kosztują—łącznie z kontramarkarnią po—1marce 70 fenigów. — Przy wejściu do teatru wyciąga się swój bilet, jako los na loterję, z urny — i siada się bądź w pierwszych rzędach krzeseł, bądź wysoko — jak wypadnie. Przy tym systemie na niektórych przedstawieniach cały teatr bywa wypełniony przez publiczność proletarjacką.

Ten nastrój u Piscatora, o którym mówiłem poprzednio, bywa oczywiście tylko przy proletarjackiej widowni. W inne wieczory — „Rasputin" jest grany codziennie od dłuższego czasu i codziennie wypełnia widownię — jest dużo publiczności burżuazyjnej, która przychodzi na widowisko w poszukiwaniu teatralnych ciekawostek snobistycznych.

J. Janowski.

FILM SOWIECKI

REŻYSER EISENSTEIN I JEGO FILMY BEZ AKTORÓW

Publiczność polska miała dotychczas możność zapoznać się z produkcją filmową sowiecką głównie z trzech obrazów: „Car Iwan Groźny", „Dekabryści" i „Szczęście żydowskie". Filmy te realizowane były siłami aktorów teatrów państwowych. W pierwszych dwóch role główne odtwarzają artyści teatrów rosyjskich, w trzecim — aktorzy teatru żydowskiego „Habima". Film „Szczęście żydowskie", wyposażony w dekoracje i rekwizyty malarza Altmana, rozwijający się na kanwie scenarjusza I. Babela i świetnie obsłużony przez zespół żydowski z Michoelsem na czele — film, nasiąknięty subtelnym humorem Szaloma Alejchema i poezją groteskowego smutku żydowskiego — przeszedł w Polsce niepostrzeżenie.

Nie te filmy jednak, obsłużone przez artystów teatrów zawodowych, stworzyły sławę porewolucyjnego kina rosyjskiego. Nowe walory, nowe podejścia do zadań sztuki filmowej, nowy stosunek do tematów i materjału kina — wniósł dopiero reżyser Eisenstein, uczeń i były pomocnik słynnego Meyerholda.

Eisenstein zerwał całkowicie z tradycją teatralną w kinie. Filmy swe tworzy bez scenarjusza. Jako temat — obiera sobie zwykle jakieś praktyczne zadanie, podyktowane przez potrzeby chwili bieżącej. Wychodzi z założenia, że sama rzeczywistość jest już „fotogeniczna". Trzeba tylko umieć podejść do tej rzeczywistości z objektywem aparatu filmowego i zorganizować według zasady celowej selekcji — „przyłapany na gorącym uczynku" proces życia społecznego. Dlatego Eisenstein obchodzi się *bez aktorów* i przeważnie *bez dekoracji* (z wyjątkiem tych wypadków, gdy zachodzi potrzeba budowania makietów, *kopjujących* zresztą objekty istniejące — jak nprz. makiet dworca Finlandzkiego w filmie „Listopad"). Odtwórcami ról w filmach Eisensteina — filmach kolektywistycznych — są zwykli „amatorzy" przypadkowi — robotnicy, chłopi, marynarze, przechodnie uliczni... Tak, nprz., w filmie „Listopad" rolę Lenina odtwarza uderzająco do niego podobny robotnik Nikandrow z Noworosyjska. Talent Eisensteina polega właśnie na nieomylności jego bystrego oka, który z gąszczu życia wyławia potrzebne mu „fotogeniczne" figury. Tak zbudowane zostały trzy największe i najpiękniejsze jego filmy — „Pancernik Patiomkin", „Listopad" i „Linja generalna".

Poniżej podajemy garść refleksji samego Eisensteina, powstałych podczas realizacji jego filmu:

LINJA GENERALNA

... Wieś!...

Któż inny powołany jest wstrząsnąć ten zgąstek problematów, jeśli nie kino?

Lenin powiedział:

„Ze wszystkich sztuk najważniejszą dla nas — jest kino".

Nie same tylko obrazki z dziedziny kultury rolnej i kroniki bieżącej powołane jest robić kino. Chwycić za kołnierz i bezapelacyjnie postawić zdębiałego widza oko w oko wobec aktualnego zagadnienia, zmusić go wziąć w niem udział, oto — obowiązek kina przedewszystkiem.

Pierwszą więc troską było: obrać jedną tylko ograniczoną linję. Linja ta — to linja kolektywizacji gospodarki i uprzemysłowienia wsi, linja etapów decydujących o przejściu przez kooperację do budownictwa socjalistycznego.

W ten sposób powstał nowy mój film — „Linja generalna". Jest to pierwszy obraz monumentalny, zbudowany na gospodarczo - rolniczym materjale chłopskim. Realizacja tego filmu próbuje wykazać jak donio-

słemi i zajmującemi mogą być najpowszedniejsze nawet zagadnienia chłopskie, które z punktu widzenia politycznego i społecznego — mają kolosalną wagę.

Front wiejski. Walka klasowa na wsi. Linja uporczywej długiej głuchej walki.

Walka! Zazwyczaj myśli się wówczas o rozwianych sztandarach, paszczach armatnich, tętencie kawalerji, potokach zrewoltowanych mas.

Lecz pochód zwycięzki idzie nie stamtąd.

Duński podjadek. Konkurs znoszenia jaj. Ogrzany chlew. Orka na śniegu wiosennym. Gruba warstwa tłustego nawozu na kolektywnie obrobionem polu. Połączenie artelów.

I urzędowo - znana terminologja rezolucyj, uchwał, dyrektyw — zaczyna żyć utuczonemi stadami rasowego bydła, terkotem żniwiarek wiążących automatycznie snopki, traktorów i lokomobil Mac-Cormicka i Państwowego Trustu Maszyn Rolniczych.

Od patosu wielkiej walki rewolucyjnej, od płomieni powstań — do codzienności chłopskiego bytowania, do obory, do ksiąg buchalteryjnych, do artelu mleczarskiego.

Zmusić szanować te myczące cyfry, djagramy zwiększonego udoju i kartoteki notujące selekcje wielotysięcznych gatunków ziarna — oto zadanie, które wyznaczamy sobie.

Nie dość tego. Kino burżuazyjne Zachodu prowadzi agitację na rzecz miłości ojczyzny, Boga i uczciwego komiwojażera i stawia pomniki „nieznanemu żołnierzowi".

My musimy porwać, zakochać naszą ogromną widownię w chłopskiej powszednio - szarej pracy, w rasowym buhaju, w traktorze, zaprzężonym do pary z chuderlawą szkapą, ciągnącą wielgaśny wóz budownictwa socjalistycznego w Z. S. S. R.

Czyż na zachodzie wiedzą cokolwiek o naszych niesłychanych zdobyczach na wewnętrznym „pokojowym froncie"? Czyż zachód ma pojęcie o bohaterstwie „pierwszych ataków pionierów gospodarczo - rolniczej rewolucji?" Wszak oprócz anegdoty o tradycyjnym niedźwiedziu, spacerującym na ulicach Moskwy, większość o niczem nic nie wie.

W naszych kino - teatrach wyświetlano obraz „Trzy epoki", razem przeplatane. I było to śmieszne. Przystępując do kwestji gospodarki rolnej, my mamy przed sobą „Pięć epok". Razem splecione. I to jest wspaniałe.

Oto mamy chłopski system przeplatania ziemi ornej pasemkami drobnej własności („czerezpołosica"). Pasemko takie wszerz nie daje możności ułożyć nawet teki. Ilość dziesięcin, stanowiących własność poszczególnych mieszkańców, rozrzucona jest w 30 miejscach. A obok — siedmiopolówka wzorowego gospodarstwa zbiorowego.

Chłopi są niezadowoleni z zarządu Państwowej Chodowli Bydła, bo rasowych prosiąt (szlachetne potomstwo angielskich wieprzów) nie wolno zarzynać na mięso — a obok przechadza się radca misji duńskiej: wszak potomstwo wieprza angielskiego plus rosyjska „czuszka" — to bacon pierwszej klasy! Rosyjski bacon — to postrach Danji.

— W głowie się kręci od jędrnego zapachu żywicy, bijącego od świeżo zrąbanych sosen. Drzazgi sosnowe. Budujemy. We wszystkich pięciu epokach odrazu. Oto gospodarstwa zbiorowe, gdzie jak w kropli wody gra, odbijając się, bezkres horyzontów nowej ery socjalnej. Aka-

demja Rolnicza im. Timirjazjewa, gdzie uczą się robotnicy i chłopi. Doświadczalna Stacja Genetyczna im. Anikowa. Jedyne na świecie *państwowe* laboratorjum, opracowujące tego rodzaju zagadnienia.

Inżynierja hodowli bydła. Świadome konstruowanie celowo dobranej rasy zwierzęcej, utrwalenie przypadkowej mutacji w nową odmianę gatunku. Koniec tajemniczej magji i tajemnic przypadkowych kopulacyj. Runęła jeszcze jedna fikcja bóstwa.

„Dajcie nam rozumnych rodziców" — dolatuje z pod brooderu sztucznej kwoki. Ile fanatyzmu! Ile oddania się sprawie!

Rośnie zboże selekcyjne. Zaorane na śniegu. Buduje się epokę pary i elektryczności.

A w perspektywie: kilka wielkich gospodarstw na Syberji będą w stanie zaopatrzyć w chleb całą Unję Sowiecką.

Ale co to wszystko znaczy w porównaniu z patosem pierwszego zbiorowego separatora, lub po raz pierwszy powstającego artelu.

Patos separatora. Od separatora do rozpłodowca rasowego, od rozpłodowca buhaja — do traktoru, do dwóch, do dziesięciu, do setki, do uprzemysłowienia w skali masowej.

Co znaczy w porównaniu z tem patos „Pieśni o Rolandzie"? Dlaczego drżą serca widzów, gdy przy gromowych dźwiękach wagnerowskiej miedzi brylantami zapala się święty puchar Graala? Na djabła nam to hiszpańskie naczynie!

Niech lepiej ogniem zapłoną oczy przed połyskiem blaszanki zbiorowego separatora.



KADR Z FILMU: „LINJA GENERALNA"

KONIEC KRYWORYLSKA
MELODRAMAT SATYRYCZNY B. ROMASZOWA
FRAGMENT AKTU DRUGIEGO

RYBAKOW, REDAKTOR, BERGMANÓWNA, SEKRETARKA, FELDMAN

GŁUCHA PROWINCJA, LOKAL REDAKCYJNY. WIECZÓR

RYBAKOW. Daj papierosa, Różo.

BERGMANÓWNA. Cóż to? gębę masz taką zdeptaną...

RYBAKOW. Wyczerpany jestem. Tyle przemyślałem przez ten czas, Bergman. Cały wagon myśli. *(Zapala papierosa i siada na brzeżku stołu).*

BERGMANÓWNA. Porcja niezgorsza. To wcale niezłe, Lampo.

RYBAKOW. Ale głupie. Wogóle, całe to zagadnienie jest głupie. Ale co robić, kiedy zmuszeni jesteśmy nietylko przeżuwać instrukcje i pisać artykuły, ale i pić, jeść, żyć wspólnie...

BERGMANÓWNA. Nadbudówki fizjologiczne.

RYBAKOW. Dużo myślałem, Różo: w tramwaju, na posiedzeniach, w domu. Sprzykrzyło mi się ciaćkać, jak z surowem jajkiem, a wyzbyć się tego nie mogę.

BERGMANÓWNA. Do czego zmierzasz? Mów odrazu, Rybakow.

RYBAKOW. Wszak żyliśmy z sobą, Różo.

BERGMANÓWNA. Tak jakby.

RYBAKOW. To było niezłe.

BERGMANÓWNA. Nie pamiętam.

RYBAKOW. Stosunki nasze były mi drogie. Chłopcy nasi wynajdywali powody drwić sobie z mojej romantyczności. Niema w tem żadnej romantyczności, ot, poprostu — zamiłowanie do czystości, wstręt do niechlujstwa.

BERGMANÓWNA. Fizjologja. Dalej.

RYBAKOW. Dalej gorzej. Łapałem się na tem, że nawet przywiązałem się do ciebie. Nie obawiam się powiedzieć: kochałem. Gwiżdżę na to, że ktoś tam powie: mieszczańskie nałogi. Więcej z łyka ma w sobie ten, kto ustawicznie zmienia jedną babę na drugą, nie troszcząc się o skutki. Wogóle nie znoszę sentymentów. Ale ciebie ceniłem, jak cenię czyste powietrze w pokoju, dobrą książkę, łaźnię. Bez ciebie czuję się parszywie. Od czasu, jak się to skończyło — jak gdybym stracił jedno płuco.

BERGMANÓWNA. Toć możesz świetnie, Rybakow, nawiązać takie same stosunki z pierwszą lepszą z naszych dziewcząt. I otrzymasz taką samą „łaźnię".

RYBAKOW. Djabła tam. Jak ty tego nie rozumiesz, Różo? Traktowałem cię jak żonę.

BERGMANÓWNA. A tyś myślał, że żona to tak, na lat dziesięć lub dwadzieścia, prawda? Własność? Sprzęt domowy?

RYBAKOW. Kręcisz. Nigdy nie patrzałem na ciebie jak na sprzęt domowy.

BERGMANÓWNA. Rozczarowanie? Ile jeszcze kwasku mieszczańskiego tkwi w tobie!

RYBAKOW. Nie widzę powodu, dla którego mielibyśmy pogrążać się w anarchji. Jakaż w tem zasługa, iż dziś żyjesz z jednym, jutro z drugim? Wyjaławiasz się tylko.

BERGMANÓWNA. Ano, rzecz prosta, lepszy samowar z imbryczkiem, pod szydełkowym kapturkiem. Kredensik. Łóżko na dwie osoby. Kanarek. Co sobota — łaźnia wspólna, a co rok to prorok.

RYBAKOW. To głupie, Bergman.

BERGMANÓWNA. Bynajmniej nie żyję z każdym, Rybakow, lecz nie widzę najmniejszej potrzeby robić z tego jakiegoś kultu czy celebracji. Każdy zdrowy chłopiec, jeśli nie jest mi wstrętny, może stać się moim mężem, jak ty to nazywasz. Lecz, otwarcie mówiąc, tak mam mało czasu, że nie łamię sobie nad tem głowy, jak ty: na posiedzeniach, w domu. A miłość? Ja kocham tylko robotę partyjną. Zrozumiano? Godzę się na czystość, owszem, ale od kanarka — jak najdalej. Wystarczy poddać się, a zaraz zacznie się słuchać słowików.

RYBAKOW. A czyż ty z Miechonoszewem nie słuchasz słowików?

BERGMANÓWNA. Z Miechonoszewem kłócimy się, ile wlezie.

RYBAKOW. Nie przeszkadza ci to żyć z nim.

BERGMANÓWNA. A, więc scena zazdrości? Pięknie. Oho, Lampo, wbiłeś ty mi klina.

RYBAKOW. Bynajmniej nie robię ci żadnych scen zazdrości, lecz wstrętnie mi patrzeć na twe niechlujstwo.

BERGMANÓWNA. Głupi. Umyj się.

RYBAKOW. Djabła tam zazdroszczę, ale z przyjemnością zbiłbym cię na kwaśne jabłko, wraz z nim.

BERGMANÓWNA *(śmieje się wesoło)*. Strzelaj z Nagana.

RYBAKOW. Wczoraj ze mną, dziś z nim, a jutro z kim?

BERGMANÓWNA. A tobie co do tego?

RYBAKOW. Bardzo mi do tego, bo to już świństwo. To ruja. Rozpusta.

BERGMANÓWNA. Lampa — kaznodzieją? Tybyś naszym chłopcom mógł w niedzielę kazania prawić. Świętoszek! Cuchniesz mi kadzidłem.

RYBAKOW. Powiedz no jeszcze słówko, Bergman.

BERGMANÓWNA. Świętoszek i do tego bałwan.

RYBAKOW. Spiorę cię, chociaż jesteś...

BERGMANÓWNA. Ty — mnie? *(zawija rękawa)*. Daligo! Cóż to, napróżno się boksu uczyłam? Gotuj się!

RYBAKOW. *(zdejmuje marynarkę)*. Będziesz beczeć, Bergman.

BERGMANÓWNA. Zobaczymy.

RYBAKOW. Lepiej się nie bić, Bergman.

BERGMANÓWNA. Aha, stchórzyłeś! No — daligo? *(ściąga z siebie kurtę)*.

RYBAKOW. Nno, pokażę ja ci.

(Zaczyna się formalny boks. Róża jest zgrabniejsza od Lampy: ten zmuszony jest bronić się przed jej gwałtownemi atakami. Róża zapędziła go w kąt, pod szafę. Boksowi towarzyszą okrzyki: „Daligo!“ — „Nie bój się, Lampo!“ — „Nieprawidłowo!“ Dzwoni wniebogłosy telefon).

FELDMAN. Cóż to, nie słyszycie telefonu? Wesoła kultura fizyczna, niema co. Hallo? Tak. Rybakow, jakiemi czcionkami składać artykuł wojenkoma? Redaktor ćwiczy się w boksie. Składajcie garmontem *(Wiesza słuchawkę)*. Towarzyszko Bergman, zaprzestańcie łupić nieszczęsnego redaktora. Dosyć już, towarzyszko Bergman. Poczekajcie, zaraz was uspokoję. *(Chlusta na nich wodą)*.

(Boks przerywa się. Lampa ociera pot z czoła, szuka pod stołem okularów). Sądzę, że dla ćwiczeń fizycznych miejsce to jest trochę niedogodne.

BERGMANÓWNA *(naciąga kurtkę).* Rybakow dowodził mi problematu płci.

FELDMAN. Dawniej dowodzono tego w zgoła inny sposób. Zdaje się, iż wasze argumenty okazały się skuteczniejsze.

RYBAKOW. Bergman bije się, niczem bokser cyrkowy.

BERGMANÓWNA. Mam nadzieję, żeś zadowolony z naszej dyskusji. Ten siniec pod okiem wymaga okładów z wody gulardowej.

RYBAKOW. Możesz się o to nie troszczyć! Wrócę za godzinę, Feldman. Artykuł wstępny poszlijcie do drukarni *(chwyta czapkę i tekę).* Gdyby dzwoniono z komitetu — wrócę za godzinę. „Torreadorze, śmiało...".

BERGMANÓWNA. Zdaje się, że jest nam po drodze, Lampo.

RYBAKOW. Idź do djabła, poczwaro! *(Wychodzi pośpiesznie, Feldman i Róża śmieją się).*

BERGMANÓWNA. Lecę do komitetu. Towarzyszu Feldman, wiecie, jaki jest najlepszy środek na miłość?

FELDMAN. Dawniej była na to jedna rada — małżeństwo.

BERGMANÓWNA. Bujda. Boks! Radykalne wyleczenie. Całkowita gwarancja. Nie zajmujecie się kulturą fizyczną?

FELDMAN. Trochę, z bękartami.

BERGMANÓWNA. Napróżno. Uczcie się boksu. *(żartem naciera nań).* Od czasu, jak zaczęłam uprawiać sport, nabrałam energji za pięciu. A jaki apetyt! Łykam życie, jak struś. Życie to bycza rzecz, towatowarzyszu Feldman.

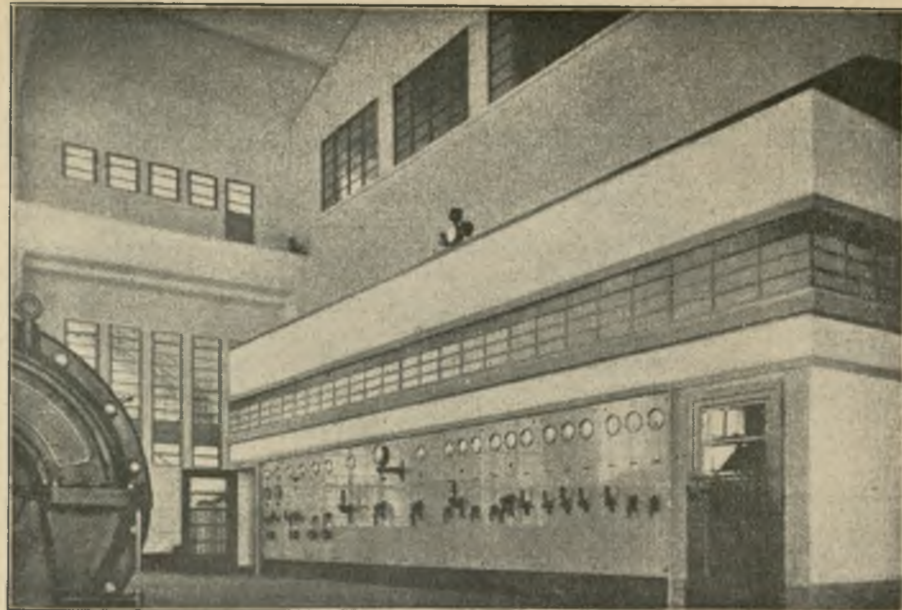
FELDMAN. Niezgorszy wynalazek.

BERGMANÓWNA. Boks, towarzyszu Feldman! *(ze śmiechem wybiega).*

Tłumaczył B. D.



ROBOTNICZY TEATR KLUBOWY „NIEBIESKA BLUZA"



ARCH. A. FISCHER (ESSEN): CENTRALNA HALA MASZYN W KÖNIGSBORN
Przykład uwzględnienia środowiska wysiłków fizycznych: widno, wesoło, czysto



ARCH. S. RAVENSTEJN: TANIE NOWOCZESNE MIESZKANIE ROBOTNICZE
Proste—pełne światła—nieprzeładowane niepotrzebnemi sprzętami

FILM POLSKI

„ZIEMIA OBIECANA"

Pierwszy film polski na poziomie technicznym zagranicznej produkcji kinowej. Znać, że zdjęciami kierował inżynier — przy pomocy dobrego operatora. Zdjęcia klarowne, kąt widzenia urozmaicony, lampy jupiterowe użyte umiejętnie, powiększenia stosowane przeważnie dla akcentu psychologicznego. Niezłe trick'i: walka w oddziale maszyn, szurgot nóg prześladujący fabrykanta. Montowanie zadawalniające. Wyciąć tylko partacką damską jazdę samochodem, a bohaterkę posłać na przeszkolenie na kurs gentlemański. Odpadną wówczas niesmaczne skutki tej jazdy.

Technicznie film nie wnosi nic nowego, stosuje tylko ze zrozumieniem rzeczy dorobek kina zagranicznego. To już wielki krok naprzód.

Scenarjusz „Ziemi obiecanej" wykrojono z powieści Reymonta dość zręcznie. Stuszowano naiwności i dorobiono „dobre" zakończenie. Tendencja filmu naogół ta sama co w powieści: „krytyka" przemysłu kapitalistycznego w imię idyllicznych stosunków w dworku polskim. Nie koliduje to bynajmniej z linją wytyczną sfer rządzących obecnie. Owszem, jest poniekąd na rękę zwolennikom agraryzacji Polski.

„Zagranica", którą zdaje się włączono do kalkulacji obrazu, ma możność w „Ziemi obiecanej" podziwiać przemysł łódzki. Łodzi naogół jest w tym filmie niewiele. Ale objekty wybrano sprytnie. Realizator dokonał zdjęć w najlepiej zainstalowanych fabrykach włókienniczych: „Scheibler i Grohmann" i „Widzewska Manufaktura". Ta ostatnia posiada od lat kilku instalację maszynową według najnowszych modeli, sprowadzonych po pożarze fabryki z Anglji. Salfaktory, szpulmaszyny, warsztaty automatyczne a nawet bielnik („blich") wyglądają na ekranie imponująco. Oczywista, typowych dla Łodzi szarparni („wilków"), sortowni bawełny, farbiarń i apretur, gdzie panują okropne warunki sanitarne — nie pokazano. A przecież byłoby to malownicze tło dla scen wyzysku robotnic. Nie pokazano też typowego ostatnio dla Widzewskiej Manufaktury obrazka: jak przybyli ze wsi okolicznych robotnicy śpią podczas ruchu fabryki — po przepracowanych 12 godzinach — wprost pod warsztatami, skąd smar i oliwa kapią im na twarz. „Fotogeniczność" takiej sceny nie ulega chyba wątpliwości? Wrodzona jednak skromność fabrykantów łódzkich nie pozwoliła im popisać się przed szeroką publicznością wspaniale przeprowadzaną w Łodzi przez rodzimych taylorystów „racjonalizacją pracy".

Są w tym konwencjonalnym filmie momenty, zaznaczające walkę klasową, któreby można rozwinąć do potęgi dramatycznych przeciwieństw djalektycznych. Ale za każdym razem, gdy ukazuje się rąbek świata krzywdy i wyzysku, realizator (inżynier Gwiazdowski, jak widać, orjentujący się w świecie pracy) śpieszy czemprędzej nalepić plaster mdłego „litosierdzia" i roztopić narastający dramat w melodramacie. Ukryć całkowicie krzywdy społecznej dziś już nie można, widz nie uwierzy, więc nawet lepiej kalkuluje się „popuścić" mu trochę. Warto pokazać naprz. „piękno świata pracy", „poezję pracy"— nic nie kosztuje a dobrze smakuje. Istotnie, zdjęcia pierwszej części „Ziemi obiecanej" na tych motywach oparte: Łódź o świcie, gwizdki, pierwszy tramwaj, robotnicy z blaszankami wsiąkający w paszczę bramy fabrycznej, inspekcja Bucholca, typy włókniarzy— należą do najbardziej udanych w filmie.

Dobrze oddany jest świat przemysłowo-handlowy Łodzi. „Lodzermensch" stanowi jednak typ odrębny — i warto go było wprowadzić na ekran. Figury z burżuazji żydowskiej przedstawiono w świetle dość sympatycznej groteski, z humorem i werwą. Ludzie ci w Polsce nieźle reprezentują „Europę". Typ rekina przemysłu, harpagonowo-demoniczny Bucholc, trąci dziś myszką. Podupadły przemysł powojenny Łodzi nie zna już takich fabrykantów, typowych dla 80 i 90-tych lat zeszłego stulecia, kiedy burżuazja łódzka miała swój „wiek złoty". Fałszywie postawiona jest też postać inż. Buchowieckiego. „Tytan", „nadczłowiek" i byznesman w początku sztuki — kończy jak zwykły zblazowany

ślamazara u stóp sentymentalnej gęsi ze dwora. Takie to są skutki „dobrych" polskich zakończeń „w stylu amerykańskim".

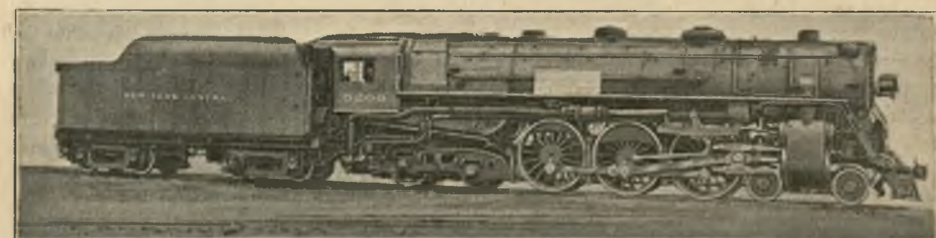
Film „Ziemia obiecana" nieźle oddaje nerwowe tempo życia łódzkiego. Łódź, zaniedbana kulturalnie, dzięki swemu przemysłowi, dzięki stosunkom handlowym z zagranicą, bliższa jest Zachodowi (a zwłaszcza Ameryce), niż pozornie efektowniejsza stolica. Realizator filmu — inżynier — potrafił to pokazać. Przez grubą skorupę nawarstwień konwencjonalnych, przez wszystkie „ludpole" i wystrzyganki łowickie, suto film oblepiające — przebija jednak żywa struga życia. Jest w tym filmie patos pokonywania przeszkód, urok budowania, zapowiedź nadchodzącej kultury konstruktywistycznej. Sceny budowania fabryki — zwałszcza sceny w zwykłym sobie baraku z dykty, gdzie pracują inżynierzy — mają coś ze zdrowej atmosfery świeżości i młodości, która nas tak czaruje w niektórych filmach (zwłaszcza farsach) amerykańskich.

Dlatego może „Ziemia obiecana" jest pierwszym filmem polskim, o którym można już mówić.

w.

MOGIŁA NIEZNANEGO ŻOŁNIERZA

Film ten — w przeciwieństwie do „Ziemi obiecanej" — stoi na równie tandetnym poziomie artystycznym i technicznym, jak i demonstrowany przed siedmiu laty podobny kicz agitacyjny „Tajemnica medaljonu". Tendencja dość naiwnej powieści A. Struga w scenarjuszu i reżyserji Ordyńskiego w nieporadności swej miejscami wprost rozpruwa ekran, wywołuje w tragicznych miejscach śmiech lub wrzuszenie ramion. Kogo dziś mają przekonać te operowe demony, kabaretowe djablice, oleodrukowe księżne, biegający nieporządnie, tam i zpowrotem „masowo" ludzie w kaszkietach i inne „wyraziste" metody oddziaływania na widza? — Sceny batalistyczne — jeżeli się uwzględni poziom odpowiednich obrazów amerykańskich, jak „Wielka Parada" i in. — wypadły dla wytwórni polskiej wprost kompromitująco. Cała „Mogiła" to tandetny „monumentalny" kicz.



LOKOMOTYWA CIĄGNĄCA 20 WAGONÓW Z SZYBKOŚCIĄ 144 klm. NA GODZ.

TEATR POLSKI

„WOJNA WOJNIE"

Nowaczyński sprawił zawód nawet swym wrogom: dał nad podziw lichą sztukę. Nic tu nie trzyma się kupy. Elementy „Lizystraty" i „Rycerzy" Arystofanesa posklejane mechanicznie i „zmodernizowane" na modłę przeciętnego teatrzyka rewji. Wiersz częstochowski. Stumetrowe „dowcipy", któremi autor zalewa publiczność przez pięć długaśnych aktów — pozbawione są humoru i jakiegokolwiek żądła politycznego. Jeśli to ma być „satyra", to na kogo i na co? Nie warto było podnosić tyle hałasu o wystawienie takiej lichoty. Jedynie reklamie sanacji, bojkotującej autora, i reżyserji Leona Schillera zawdzięcza „Wojna wojnie" powodzenie u publiczności mieszczańskiej i ziemiańskiej, która traktuje to widowisko, jak pięcioaktowy skatch w „Qui pro quo". Gdyby młody autor napisał coś podobnego, żaden dyrektor nie odważyłby się przyjąć tego na scenę.

Schiller nadał całej „komedji" charakter rewji z nieodzownemi „girlsami". Jest w tej realizacji kilka pomysłów reżyserskich, godnych lepszej sztuki (ułani, cienie chińskie, szturm). Ale poco każdy akt zaczynać wrzaskiem przy zapuszczonej kurtynie? Charakterystyczne, że w inscenizacji tej właśnie bujdy zastosowano po raz pierwszy w Polsce rusztowania sceniczne miast „dekoracji". Konstrukcje Wł. Daszewskiego są trafne, dobrze pomyślane i solidnie wykonane. Możnaby poszczególne elementy mocniej sprzęgnąć w jedną całość organiczną i opuścić niektóre niepotrzebne szczegóły, zwłaszcza w akcie pierwszym, skądinąd dającym największe możliwości w rozplanowaniu ruchu mas aktorskich. Stylizowany konstruktywistycznie portyk z kolumnami doryckiemi wyłamuje się z całości i nie wiąże z dobrze zbudowanym „ślimakiem" w akcie ostatnim. Dobry był pomysł obracania sceny przy otwartej kurtynie: zademonstrowano w ten sposób przewagę budowli rusztowaniowej nad zwykłemi, używanemi przez Reinhardt'a jeszcze, „praktikablami".

Czy nie sympotomatyczne to dla naszych stosunków, że wybitni artyści polscy, pozbawieni właściwego ich talentom pola pracy, muszą marnować siły i pomysły na bzdurach tego rodzaju, co „Wojna wojnie"?

Witold Wandurski

P. S. *Pro scena sua*. Przyjaciele zwrócili mi uwagę na to, iż rzucają się w oczy analogje pomiędzy „Wojna wojnie" a moją agitką „Gra o Herodzie". Trawestacja znanego tematu, kukiełkowość figur, rąbane rytmy (u Nowaczyńskiego — marsz kobiet, u mnie Prasa), wstawianie popularnych „szlagierów" do tekstu („Gdy zobaczysz ciotkę mą..."), wreszcie — wiersz. U Nowaczyńskiego: „...inne tortury, o których nie mówię ze względów cenzury" (Miroluba). U mnie: „Kłamstwo, że król Herod umarł — a pfe! a pfe! — nie dopuści wszak cenzura!" (Prasa) Można znaleźć tego więcej.

Nie przypuszczałem, że spotka mnie taki „zaszczyt". Pisałem swój skatsch polityczny w pośpiechu, wierszem częstochowskim, dla użytku chwili — i ani mi się nie śniło, że „Arystofanes polski" zużytkuje niektóre pomysły i nawet rymy w swem epokowem dziele. Przydała mu się trochę i zbojkotowana przez krakauerskich zuchów „Śmierć na gruszy".

W. W.



KONSTRUKCJA DO „WOJNY WOJNIE", AKT PIERWSZY

KSIĄŻKI

Z OBCHODU 250-ej ROCZNICY ŚMIERCI SPINOZY

(„Chronicon Spinozanum", tom V, Haga 1927).

Najpoważniejszą enuncjacją naukową, poświęconą pamięci wielkiego myśliciela jest bezsprzecznie tom V „Chronicon Spinozanum", wydany przez Towarzystwo Spinozańskie („Societas Spinozanum"). Każdy naród, biorący udział w ogólnym dorobku badań nad historją filozofji, znajduje na kartach „Chronicon'u" swego wybitnego przedstawiciela, którego artykuł wydrukowany jest przedewszystkiem w języku ojczystym autora, następnie zaś w przekładzie francuskim lub niemieckim.

Polskę reprezentuje prof. *Myślicki* („Znaczenie filozofji Spinozy dla naszego kraju"), Rosję — prof. *Deborin,* kierownik Instytutu Filozoficznego im. Karola Marksa *(„Spinoza a marksizm").* Artykuł prof. Deborina, jednego z najwybitniejszych filozofów marksistowskich kierunku „ortodoksyjnego", autora bardzo cennych prac z zakresu teorji i historji materjalizmu filozoficznego, zasługuje ze wszech miar na pobieżne choćby omówienie gwoli użytkowi czytelnika polskiego. Nie możemy bowiem narzekać na nadmiar wydawnictw, poświęconych Spinozie, niepodobna twierdzić o polskich instytucjach naukowych tak, jak z słuszną dumą pisze Deborin o analogicznych instytucjach na terenie Z. S. S. R. — żeby „szykowały się w 250-tą rocznicę śmierci Spinozy do godnego uczczenia jego pamięci przez urządzenie uroczystych posiedzeń i specjalnych referatów, wyjaśniających z różnych stron system filozoficzny wielkiego myśliciela". A co gorsza, przesadą byłoby u nas pisać, że „imię wielkiego Benedykta Spinozy cieszy się olbrzymim szacunkiem u marksistów polskich". Wiele należałoby jeszcze uczynić, aby tak było naprawdę, aby ten i ów nie kojarzył w „niebezpieczne związki" Marksa z Machem i Avenariusem albo, dla odmiany, z Jamesem, Dewey'em i Schillerem — zamiast uświadomić sobie właściwy rodowód filozofji Marksa i Engelsa, związanej jak najściślej z socjologją wielkich mistrzów socjalizmu naukowego.

Wielką zasługą wspomnianego artykułu prof. Deborina jest właśnie wzmocnienie więzi, łączących marksizm ze spinozyzmem. „Wielu" — powiada autor — „sądzi, że marksizm jest tylko pewną nauką ekonomiczną i teorją rozwoju historycznego społeczeństwa. W rzeczywistości jednak sprawa jest bardziej złożona, zarówno bowiem nauka ekonomiczna, jak i teorja materjalizmu historycznego jest wynikiem i wyrazem pewnego filozoficznego poglądu na świat i naukowej metody badania, związanej z tym poglądem. Marksizm pojmowany w ten sposób sprowadza się do materjalizmu djalektycznego. Bez materjalizmu jako ogólnofilozoficznego poglądu na świat, bez djalektyki jako metody — niemasz marksizmu. Oto stanowisko zajmowane przez Marksa i Engelsa, a wślad za nimi przez J. Plechanowa i W. Lenina".

Stanowisko to odbiega zupełnie, zdaniem autora, od „epistemologicznej (teorjopoznawczej) scholastyki i beztreściwego formalizmu etycznego Kanta, stanowiącego „urzędowe credo filozoficzne socjaldemokratów niemieckich" (przypomnimy od siebie, że ostatni program socjaldemokracji niemieckiej opracowany został pod auspicjami sędziwego neokantysty, prof. Vorländera, autora znanej pracy: „Marks i Kant"), natomiast zbiega

się z filozofją L. Feuerbacha „z jego materjalizmem przepuszczonym przez pryzmat djalektyki". A materjalizm Feuerbacha jest tylko — jak usiłuje dowieść autor — spinozyzmem wyzwolonym z obsłonek teologicznych. „Feuerbach — podobnie, jak Spinoza — twierdził, że świat zjawisk podmiotowych jest jeno drugą stroną świata zjawisk przedmiotowych. W ten sposób Feuerbach zajmował stanowisko jedności przedmiotu i podmiotu, myślenia i bytu. Lecz ten punkt widzenia Feuerbacha został w całości przejęty przez Marksa i Engelsa". „To, co Spinoza nazywa istotą (substancją) albo bogiem" jest według Feuerbacha, Marksa i Engelsa — „jedynie przyrodą".— „Przyroda — według Spinozy i jego spadkobierców w w. XIX — „jest wielką całością, w której obrębie wszystko pozostaje we wzajemnym związku. Człowiek jest również tylko częścią tej jedynej całości, częścią przyrody, poza którą nic nie istnieje. Poznanie nasze zwrócone jest w kierunku ustalenia związków przyczynowych i praw natury".

Nie zamierzam streszczać tutaj wszystkich dowodów autora, przemawiających na rzecz definicji marksizmu jako „odmiany spinozyzmu", opartych na bardzo przenikliwej analizie krytycznej „Etyki" i obu „Traktatów" Spinozy. Wypadnie mi powołać się na niektóre z tych dowodów przy innej sposobności, w przygotowanem do druku osobnem studjum, omawiającem wpływ Spinozy na materjalizm w. 18-go, będący jednym z najważniejszych etapów w rozwoju myśli marksistowskiej.

Należy jeszcze z uznaniem podnieść śmiałość filozofa marksistowskiego, który na kartach organu burżuazyjnych wielbicieli Spinozy nie waha się stwierdzić, że „spinozyzm jest zrehabilitowany w naszej „oświeconej" epoce, ale zrehabilitowany tylko o tyle, o ile udało się go wypaczyć i przemienić za pomocą wszelkich interpretacji w idealistyczny system filozoficzny... Teologowie — powiada Feuerbach — całkiem słusznie oskarżali Spinozę o ateizm. I w rzeczy samej słuszność mają tym razem klechy, a nie ci interpretatorzy filozoficzni Spinozy, którzy za wszelką cenę pragną odmierzyć pod słońcem przyrody spinozańskiej kącik dla boga *). Ale w systemie przyrody Spinozy niema takiego kącika".

Tyle o artykule prof. Deborina. Na zakończenie parę słów o naszym partykularzu. Podczas gdy w licznych miastach Starego i Nowego świata odbyły się uroczyste obchody spinozowskie, gdy w Hadze obradował zjazd najwybitniejszych badaczy myśli Spinozy, gdy na całym obszarze Z. S. S. R. dzień 250-tej rocznicy śmierci Spinozy poświęcony został okolicznościowym uroczystościom urzędowym i nieurzędowym, posiedzeniom specjalnym towarzystw naukowych, akademjom i odczytom publicznym, u nas ani jedna instytucja naukowa nie zdobyła się na jakikolwiek już nie powiem obchód, ale choćby zwykłe posiedzenie z odczytem. Krakowska Akademja Umiejętności nie raczyła nawet wysłać telegramu powitalnego na zjazd spinozański, nie mówiąc o osobnym delegacie. Ani jedno z czasopism filozoficznych nie pomyślało o wydaniu specjalnego numeru spinozowskiego (pamiętano zato w swoim czasie o osobnym numerze kantowskim — zarówno, jak i o obchodzie), ani jedno z dzieł Spinozy nie uka-

*) Jeden z takich interpretatorów, jezuita *Dunin-Borkowski*, polak z pochodzenia, autor bardzo wartościowej pracy „O młodym de Spinozie" reprezentował Polskę wraz z prof. Myślickim (obaj tylko w charakterze członków „Societas Spinozana") na zjeździe haskim. Wyjątek ten potwierdza jednak tylko słuszność ogólnego poglądu Deborina.

zało się w nowem wydaniu polskiem (i to wobec kompletnego wyczerpania dotychczasowych przekładów), ani jedna książka czy broszura nie wyjaśniła szerszej publiczności, kim był Spinoza. Publiczność ta zdana była na pastwę erudycji pismaków dziennikarskich, z których jeden srodze się dziwił, czemu to zagranicą wyprawiają wielkie hece z tym uczonym rabinem żydowskim, co całe życie swe prześlęczał nad Talmudem, drugi zaś zaopatrzył wzmiankę o Spinozie wcale udatnym portretem... Pestalozziego (autentyczne!).

Pomijając te ostatnie curiosa — coprawda jedyne w swoim rodzaju w całym świecie cywilizowanym, obchodzącym rocznicę śmierci Spinozy, — upatrywać należy w zachowaniu się naszego urzędowego „świata naukowego" objaw nieomylnego instynktu klasowego, działającego ze szczególną sprawnością na rubieży t. zw. „cywilizacji zachodniej" a przestrzegającego przed jakiemikolwiek nieopatrznemi wyrazami hołdu dla wielkiego samotnika, którego myśl wyhodowała przewrotową filozofję czynu Marksa i Engelsa. Boć według tej filozofji chodzi głównie nie o to, aby świat objaśniać, lecz o to, aby *świat zmienić*.

Stefan Rudniański

JAK NIE NALEŻY POPULARYZOWAĆ HISTORJI

Bibljoteczka „Książki". Historja. Szczepan Runicz. Jak upadła Polska szlachecka. Warszawa 1927.

Popularyzacja zagadnień historycznych ma ogromne znaczenie. Klasy panujące przykładają do niej wielką wagę. Przeróżne obchody, rocznice i t. d. bywają powodem do wydawania wielkiej ilości tanich i przystępnych broszur. Jasne jest bowiem, że takie czy inne oświetlenie wypadków dziejowych wpływa na stosunek danej jednostki do współczesności. Nauka historji zawsze była bardzo bliską sąsiadką polityki.

Zadaniem popularyzacji historji wśród robotników winno być przeciwdziałanie szkodliwym skutkom wykładu szkolnego i popularnych broszurek przekręcających fakty, dających fałszywe oświetlenie w duchu militarystycznym i nacjonalistycznym. Naturalnie, od popularyzatora robotniczego nie można żądać dawania nowych teorji historycznych. Można natomiast i trzeba aby przynajmniej uwzględniał sumiennie wyniki pracy uczonych burżuazyjnych, dając ich oświetlenie w duchu materjalizmu dziejowego. Czy broszurka Runicza spełnia to minimum wymagań?

Autor rozpoczyna wykład swój o upadku Polski szlacheckiej, od opisu położenia chłopów i mieszczan, poczem zaraz opowiada o pierwszym rozbiorze, wyniku „rządów magnackich i chciwości państw sąsiedzkich". Autor nie zapomina naturalnie napsioczyć Fryderykowi II, który „jako wilk żarłoczny czyhał... na bezbronne a bogate dzielnice zachodnie Polski". Nic zato Runicz nie wspomina o konfederacji barskiej, o powstaniu chłopskiem na Ukrainie, choć te wypadki są bardzo mocno złączone z pierwszym rozbiorem i z późniejszą sytuacją polityczną w kraju.

Mniejsza zresztą o „patrjotyczną" frazeologję autora i przeróżne przemilczenia. Są gaffy poważniejsze. Pisząc o nastrojach w Polsce w r. 1789, Runicz daje na str. 54 podtytulik: „Ruchawka po wsiach i miastach", a w nim między innemi strasznemi wiadomościami: „Od słowa niedaleko

było do czynu, zaczęły wnet i w Polsce tu i owdzie wybuchać bunty, a na Wołyniu i Podolu wydarzyły się nawet znaczniejsze rozruchy".

Runicz czytał dzieło ks. Walerjana Kalinki „Sejm czteroletni", w każdym razie przytacza stamtąd cytaty. Otóż Kalinka rozpatruje tę sprawę bardzo szczegółowo i obszernie udowadnia, że „buntów" wcale nie było, że pogłoski o buntach na Wołyniu i Podolu wyroiły się w Warszawie (dzisiaj byśmy powiedzieli, że miały charakter czysto prowokatorski), że zostały podtrzymane przez koła sejmowe i posłużyły za przyczynę do niesłychanych represji. Jedyny wypadek zamordowania szlachcica przez jego lokaja i rymarza we wsi Niewierkowie, w powiecie łuckim — był zupełnie odosobniony i mógł być traktowany jako przestępstwo kryminalne.

Zdarza się często, że jakiś organ administracyjny, zwłaszcza niższy, dostaje od władzy polecenie wypełnienia np. jakiegoś formularza statystycznego, do którego zupełnie niema materjału. Ale papier musi być załatwiony. Podaje się więc dane wzięte z bylekąd, najczęściej z własnej imaginacji albo, jak się to kiedyś mówiło, „z sufitu". Runicz pisząc o r. 1789 w Polsce stworzył sobie własnowolnie taki formularz w dziejach tego roku we Francji. Zestawia więc starannie wypadki: Zgromadzenie Narodowe we Franji, bunty, zdobycie Bastylji — z zebraniem deputowanych miast polskich, którzy „nielegalnie", „bez pozwolenia władz państwowych" każą się modlić po kościołach i demonstracyjnie, jak powiada autor, „uzbrojeni (!!!) w szpady" składają swoje żądania. Chłopi francuscy burzą zamki i niweczą przywileje feudalne. Autor nasz, prawdziwy „paryżanin północy" namyśla się niedługo i „z głowy" komponuje „bunty chłopskie" i znaczniejsze rozruchy. Czego się nie robi dla symetrji.

To byłoby tylko zabawne, ale niestety, nasz autor ma inne jeszcze powody dla swej historycznej twórczości. „Oto władze wojskowe zdusiły niepokoje i ukarały surowo sprawców". W rzeczy samej prowokacyjne plotki warszawskie (rozsiewane w interesie hetmana Branickiego, któremu się chciało dorwać do komendy) w połączeniu z efektem jaki wywarło zabójstwo niewierkowskie i strachem szlachty, mającej w pamięci „Koliczyznę" (o której autor znowu nabrał wody do ust) — wszystko to posłużyło jako pretekst do straszliwej rozprawy z chłopami wołyńskimi i podolskimi, przemilczanej zasadniczo przez historyków polskich. a o której, skrajny przedstawiciel tendencji obszarniczych, ks. Kalinka mówi, że „przykro te rzeczy opowiadać".*)

Ten wyjątkowo haniebny, bo niczem niezawiniony teror wywarty na chłopach ukraińskich kładzie się brudną i ponurą plamą nietylko na szlach-

*) Dla przykładu przytoczę kilka faktów podanych przez Kalinkę. Świadczą one o motywach prześladowań. „Pierwszy dał przykład Wilczyński, dzierżawca wsi Lubcza, do ks. Woronieckiego należącej. Chłopi tej wsi byli bogaci i często na posesora przed dziedzicem skarżyli, stąd nienawiść pierwszego, a u chłopców po pijanemu odgrażania się Za te zuchwalstwa przywieziono ich do Łucka". Przysięga dziedzica lub posesora wystarczała do skazania. „Strach był wielki, a wiadomo, że nic bardziej nad strach nie czyni człowieka okrutnym. Skoro Wilczyński zaprzysiągł swoje oskarżenia, dwóch chłopów dn. 8 kwietnia, dwóch drugich dn. 10 kwietnia powieszonych zostało. Nie było kata do spełnienia wyroku, użyto kominiarza; po 6 do 8 godzin męczyli się na szubienicy. Za przykładem Łucka poszły i inne miasta, a gdzie komisji porządkowych nie było, tam magdeburgje doraźnym sądem egzekwowały..." „Z Kuryłówki przystawiono do Dubna 17 delikwentów. Powodem do tego było, że podochoceni w czasie świąt chłopi poszli pod

cie Wołynia i Podola ale i na „Wielkim" Sejmie i najlepiej maluje stosunek patrjotów sejmowych do chłopów. A Runicz dorabia sobie bajki o„ buntach" chłopskich. Trudno doprawdy znaleźć słów na należyte określenie takiego popularyzatorstwa.

Tak samo cały szereg fałszów i przemilczeń popełnia autor przy omawianiu roli stronnictwa patrjotycznego. Podkreślając np. ścisły stosunek elementów wrogich reformom z dworem carskim, przemilcza o takich samych stosunkach patrjotów z dworem pruskim (można by też wspomnieć o bardzo ciekawej roli, jaką odegrała polityka angielska). Zaciera się w ten sposób charakterystyczna i dla czasów późniejszych dwutorowość polityki różnych rządów i stronnictw w Polsce — a czytelnik otrzymuje zupełnie fałszywy obraz. Przy wyjaśnianiu carofilstwa targowiczan pomija zupełnie względy gospodarcze, dając wzamian spekulacje na temat różnych gatunków patrjotyzmu i t. p.

Broszura Runicza zasługiwała na szersze omówienie przez typowość podejścia. Nie można zresztą autorowi odmówić całkowicie dobrych chęci i usiłowań. Wydaje mu się jednak, że skoro pisze rzecz popularną dla robotników, to wystarczy popularność jakich nowoczesnych „Wieczorów pod lipą", tylko podana w „klasowym" sosie i upstrzona czerwonemi słówkami. Jest to zwyczajne—pod maską frazeologji marksowskiej—tandeciarstwo burżuazyjne: niestety trudne do wykorzenienia, z którem jednak trzeba walczyć. Bez tego nie ruszy się z miejsca.

A. Stawar

E. BRAND. EKONOMICZNE MOMENTY W PRZEWROCIE MAJOWYM I W POLITYCE OBECNEGO RZĄDU

Nakładem Spółdzielni Księgarskiej „Książka", Warszawa 1927.

Tymczasem sygnalizujemy tylko pojawienie się ciekawej pracy Branda. Autor próbuje dać ocenę tych czynników gospodarczych, które stały się bezpośrednią przyczyną przewrotu majowego i późniejszej polityki gospodarczej rządu sanacyjnego. Praca Branda przeciwstawia się poglądom wyrażonym w broszurze M. Fiedlera „Tło gospodarcze przewrotu majowego".

„Ekonomiczne momenty w przewrocie majowym i w polityce obecnego rządu" o wiele gruntowniej i głębiej ujmują zagadnienie niż tamta broszura. Niemniej jednak Brand zapędził się w kierunku przeciwnym — dał cały szereg oświetleń politycznie przeciągniętych. Broszura Branda, z którą powinien zapoznać się każdy interesujący się marksizmem czytelnik, zasługuje na bardzo szczegółową ocenę, którą damy w następnym numerze „Dźwigni".

oknami swojej pani zaśpiewać kolendę późno wieczorem. Kasztelanowa wystraszona kazała ich za tę niespodziankę przepędzić kijami. Stąd u chłopstwa gniewy i przegróżki" Następnie donos, przyznanie się „pod plagami". — Było to dostateczne, by trzech za wyrokiem magdeburgji skazać na ćwiartowanie, dziesięciu na szubienicę, resztę na srogie bicia" i t. d. i t. d. Prześladowanie i egzekucje rozszerzyły się stopniowo na księży unickich — potem szybko ustały. W wywołaniu pozorów buntu zainteresowany był hetman Branicki, a pogłoski rozsiewała jego partja.

Ciekawe że najprzyzwoitsze stanowisko zajął późniejszy „zdrajca" i targowiczanin Szczęsny Potocki, który demaskował bajania o buntach, a nawet miał się z tego powodu podać do dymisji. Działał tu przez niego nie jakiś sentyment dla chłopów, ale poprostu rozsądek gospodarski, którego nie posiadała zdziczała szlachta wołyńska i „patrjoci" z Sejmu.

MIMOCHODEM

BRATERSTWO ZBRODNI. Na czele nader smakowicie dokonanego wyboru nowel współczesnych pisarzy rosyjskich, pod pięknym i jakże trafnie charakteryzującym sąsiadów z poza wschodniego kordonu tytułem: „Ludzie jaskiniowi" — J. Kaden-Bandrowski zamieszcza niemniej apetycznie przyrządzoną przedmowę. I zapytuje sam siebie:

„Po cóż więc trud sobie zadawać, pocóż językowi polskiemu przyswajać słowa poczęte z natchnienia tych obcych, wrogich ludzi i obcych, a może nawet nienawistnych losów?!"

Ach, pocóż???—zapytujemy. Przedmówca zaś dalej opowiada. „Widzę was oczyma was wszystkich, którzy żyjecie na tych kartach. Biedną, umierającą Maszę, jej męża, tkliwego złodzieja. Kozaków, którzy broczą we krwi szalonej, bratobójczej i ojcobójczej... Owego chama portjera...

Was wszystkich, którzy wedle słów jednego z pisarzy tej książki jesteście, — „Gwałtownie dziwaczną Rosją, jak stado wszy odzieżowych, tupoczącą łapciami z obu stron pociągu".

Żyją te troglodyty, parrycydy zawszone, złodzieje tkliwe i chamy i ani się domyślą, jak to szanowny przedmówca w imię „zawsze jednej Muzy" — opowieści o nich „przyjmuje jak swoje do współczującego serca".

„Rozumiem cię, kozaku, któryś rżnął ojca... I ciebie, któryś dostrzelił szmuklerkę, i ciebie, biedny człowieku, któryś kradł polana, i was wszystkich.

Och — wszystkich".

Przyjmuje do serca, bo to przecie „my" pisarze:

„My, ludzie serca, oczu tkliwie otwartych i czułej, kochającej fantazji, którzy umiemy słuchać gniewu naszych wrogów z uśmiechem serdecznej pomocy, którzy cierpimy, gdy krew z nich upływa!..."

To właśnie czułe serce dyktuje mu słowa wyciągane ze smakiem:

„Słuchajcież tam, koledzy: Oto widzę, iż przystawiacie czyste zwierciadło światu swemu, jak my tu swemu światu staramy się czyste zwierciadło pokazać".

Jakże się nie ma cieszyć sentymentalne serce pisarza polskiego, jakże nie przyświadczać, skoro widzi, jasno widzi w tem „czystem zwierciadle" pisarzy „bolszewickich", że to tamci z za kordonu nic nie robią jeno zajmują się ojcobójstwem, bratobójstwem, kradną, broczą we krwi, że „krew z nich upływa" — jakże, przecież pisarze bolszewiccy sami to piszą.

. . . .

Był we Francji pisarz: Maupassant. Pisarz ten przeżył wojnę 1870 roku, gdy ojczyzna jego została powalona przez wroga — pisał opowiadania z tych czasów: w dwóch z nich, uznanych za mistrzowskie, rolę prawdziwych reprezentantek patrjotyzmu odgrywają prostytutki, w innej żołnierz murzyn przyrządza potrawy z ciał wrogów. W opowiadaniach Maupassanta już z czasów pokoju zdarzają się takie sytuacje, gdy brat w dziewczynie, którą posiadł w domu publicznym, poznaje siostrę, a ojciec córkę, — jest też opowiadanie o takim co zabił rodziców. Wyobraźmy sobie teraz, że jakiś wydawca, „wróg" niemiec, w patrjotycznej trosce opisania „wrogów" francuzów zebrał tego rodzaju nowele i wydał je w jednym tomie — może dobrał jeszcze inne podobne. Wyobraźmy sobie następnie, że znalazł się pisarz niemiecki, który taki wybór poprzedził przedmową, dyszącą nienawiścią i przedstawiającą Francję, jako kraj, gdzie godność narodową reprezentują dziewczyny uliczne i antropofagowie, gdzie obywatele zajmują się przeważnie kazirodztwem i bratobójstwem. To wszystko można sobie wyobrazić — i wydawcę

tak patrjotycznego i pisarza (może zresztą naprawdę tak było). I należy przypuszczać, że każdy rozsądny człowiek niemiec, czy anglik, przeczytawszy ten zbiór i tę przedmowę, ruszyłby ramionami i zapytał: poco wogóle w taki poniżający sposób „patrjotycznie" obełgiwać swój naród i swoje społeczeństwo? A możeby spostrzegł, że nawet tak dobrane nowele Maupassanta więcej bodaj mówią o wielkości jego kraju, niż niejedna fanfara pochwalna urzędowego fanfarona?

To wszystko można sobie doskonale wyobrazić — to są rzeczy, jak powiadają, ludzkie. Ale doprawdy trudno wyobrazić sobie pisarza, który pisząc do podobnego wydawnictwa podobną przedmowę, słowa piekącej nienawiści, żółć i ślinę nieugaszonej wzgardy i podjudzania tak usiłował pokryć miodem fałszywej serdeczności, któryby judząc i szkalując, popisywał się słowami rzekomej solidarności pisarskiej i koleżeństwa w sztuce. I jak określić podobne postępowanie, jak nazwać taką przedmowę — gdy pisarz taki się znalazł, gdy przedmowę podobną napisał Kaden-Bandrowski?

POECI KOŃSKIEGO CZAPRAKA. Nieporównanym poprostu materjałem dla przyszłego historyka naszej epoki będą nekrologi zamieszczone w gazetach z powodu śmierci głośnej „Kasztanki". Już samo zestawienie tytułów tych nekrologów jest niezmiernie ciekawe. „Kurjer Poranny" pisze: „Kasztanka *nie żyje*", „Express": „*Zgon* historycznej kasztanki Marszałka Piłsudskiego", endecka „Gazeta Poranna Warszawska" daje wyraz swej żółci pisząc opozycyjnie: „Kasztanka *zdechła*". To samo mniej więcej w pismach prowincjonalnych. Najlepiej wszakże popisał się „Głos Prawdy", który obwieściwszy: „Kasztanka zakończyła swą służbę", dodaje elegję nieznanego autora, który po różnych głębokich a nieogarnionych zwykłym sensem ludzkim wywodach pisze: „Przyoblekła cię piosenka żołnierska w czaprak poezji".

Następnego dnia zabiera głos p. M. J. Wielopolska we wspaniałej elegji również prozą, dogadując się m. in. do takiej apostrofy: „*Kasztanko! koniu bojowy wierny! Z nieświadomością twoją związana jest na zawsze najwyższa Świadomość nasza...*" Powinszować tej „najwyższej świadomości", autorce tak wrażliwej na znaki czasu.

Najwyższą karjerą dla konia ongiś było wprowadzenie do rzymskiego senatu. W Polsce byłoby to jeśli nie niemożliwe to dość utrudnione ze względu na brak warunków wymaganych od kandydatów: zbyt niski wiek (18 lat w chwili śmierci), nieumiejętność czytania i pisania po polsku, no i... niepewność fluktów wyborczych. Żałować jednak należy, że Kasztanka nie doczekała się mianowania do przyszłej akademji literatury. Czyż można wątpić, że koń o takich zaletach i zasługach wobec świadomości narodowej byłby o wiele lepszą ozdobą przyszłej akademji od niektórych literatów z „Głosu Prawdy"?

DZIADY WARSZAWSKIE. Na scenie Teatru Narodowego wystawiono „Dziady" Mickiewicza w nowej inscenizacji. Wzorowano się na nowinkach zagranicznych. W Niemczech reżyser Piscator zastosował w sztuce Tollera: „Hopla! wir leben...", której akcja toczy się współcześnie, częściowo w więzieniu — ekran, na którym wyświetlano treść wypukiwanych w celach rozmów więźniów politycznych.

Więc i w mickiewiczowskich „Dziadach", w scenie, gdy Konrad wypisuje węglem na ścianie więziennej po łacinie:

„Obiit Gustavus, natus est Conradus"

słowa te wyświetlano, literkę po literce, na modłę reklam świetlnych: „Pijcie likiery Mikolascha". Były też i inne „inowacje" w podobnym stylu.

W Radzie stoł miasta Warszawy — burza! Rady z literatury sanacyjnej zabiera głos po zamknięciu sesji i występuje z nagłym wnioskiem: „Rozbito głowę poezji polskiej!...". Dyskusja z tego powodu trwa godzinę. Ostatni zabiera głos znany radny z P. P. S. i proponuje, aby ten ważny wniosek wnieść w formie interpelacji do magistratu. Zrobiono. Rada miejska jednomyślnie przyjmuje wniosek.

Świetnie. Ale... „nie pomoże blansz i róż, kiedy dziady stare już".